Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 3 listopada 1935 r. Nr. 44.



NA CMENTARZU

W listopadowej dnia pomroce,
Jak listki złote cmentarnych brzóz,
Spływają ciche łezki sieroce,
Na poczerniały, mogilny gruz.

W listopadowych mgieł welonie,
Na grób padają bielutkie kwiaty
I tęcze lampek płoną w gazonie,
Krasę i czar niosąc zaświatom,

W listopadowym święcie cmentarza,
Śpiewamy duchom co roku glorje,
A pieśń żałobna w sercu odtwarza
Tajemne umarłych dusz allegorje.

W listopadowej dnia pomroce,
Chociaż na chwilę serce padołu,
Szepcząc „memento“, swe łzy sieroce
Leje na szczątki ludzkich popiołów.

M. Z.



POWIEŚĆ 5)

Poznałam już imiona i nazwiska wszystkich mych uczniów, a teraz usiłuję poznać życie każdego z nich poszczególnie. Jest to warunek nieodzowny, jeżeli pracę nauczycielską traktować poważnie. Te wiejskie, nieokrzesane dzieci mają ogromnie rozwinięty zmysł krytyczny. Umieją odróżnić tandetę od istotnych wartości, umieją ocenić nauczyciela, jeżeli nauczyciel wkłada w swą pracę choćby iskierkę głębszego zainteresowania, choć cząstkę własnej duszy.

Dzieci — wszystko jedno, zamożne czy biedne, zrodzone w środowisku intelektualnem, czy też zupełnie surowem, są zawsze tą bogatą glebą, na której wzejdzie każde ziarno. Od dobrej uprawy tej gleby zależy przyszły plon. Zdanie pospolite, wytarte, lecz niepozbawione przez to głębokiej, mądrej prawdy...

Mam oto przed sobą trzydzieści istnień ludzkich, — trzydzieści główek dziecięcych, kręcących się w prawo i lewo, trzydzieści par oczu błękitnych, szarych i czarnych i tyleż par rąk, które do niedawna nie umiały trzymać ołówka. Zostałam kierowniczką dwóch najmłodszych oddziałów i bardzo jestem z tego rada. Ilekroć zdarzyło mi się pracować w podobnych warunkach, odczuwałam zawsze radosną dumę człowieka, który swój twórczy gmach buduje od samych podstaw, przerąbuje własne ścieżki wśród lasów dziewiczych, nietkniętych żadną cywilizacją, a więc nieokaleczałych, nieoszpeconych w imię tej cywilizacji i kultury.

Najtrudniejszą przy orce rzeczą jest po raz pierwszy wbić pług w twardy ugór i wyprowadzić prosto pierwszą skibę. Inne już będą zależne od jej kierunku. Dlatego najtrudniejsze, choć i najmilsze są wszelkie początki.

Mam oto swoje dzieciaki przed oczyma. Trzydzieści mózgów prawie tak nieskazitelnie pustych, jak umyta świeżo tablica. To, co przyniosły z domu, z otoczenia, to czysto zewnętrzna powłoka, którą zeskrobać można, lub utrwalić, zależnie od jej wartości. A jaka to subtelna praca, ile wymaga uwagi... Możnaby ją chyba porównać z odkopywaniem cennych zabytków z grudy, czy skamieniałej lawy. Odłupywać trzeba ostrożnie, po kawałeczku, by nie uszkodzić, nie nadwerężyć kośćca.

W dodatku — ta nieufność naszego ludu do wszystkiego, co przychodzi od zewnątrz, rzekomo zgóry, z „nakazu" — a więc przedewszystkiem do szkoły i do jej przedstawicieli, figur rządowych, oficjalnych, narzuconych przez władze...

Jak dalece posunięta jest ta nieufność, przekonywam się ustawicznie, na każdym kroku. Ilekroć zaczynam wierzyć, że związek pomiędzy mną a dziećmi już się zacieśnił — dostaję obuchem rozczarowania po głowie... Dzieci przychodzą do szkoły z głęboko zakorzenionem, a przez starszych umocnionem przekonaniem, że: „oni sobie — a my sobie". Chowają więc skrzętnie jak najgłębiej każdą myśl bardziej własną, każdy szczerszy odruch.

Muszą być grzeczne i zachowywać się na lekcji spokojnie, bo tego wymaga nauczyciel, ale one siedzą jak małe mumje, z wyrazem doskonałej obojętności na twarzy. Zainteresowanie lekcją jest w nich powierzchowne, udają skupienie, drżąc na samą myśl, że „pani" może znienacka otworzyć dziennik, wywołać ucznia, zadać mu pytanie i za pisać zły stopień. Ile to trzeba pracy, energji, tłuczenia głową o mur, by wydobyć jakąkolwiek odpowiedź z ust dziecka, które dopiero zaczęło chodzić do szkoły! Doprawdy, ciężka to praca wykrzesać iskrę bożą z tych malców, patrzących nieufnie, zpodełba na niosącą „oświaty kaganiec" ich kierowniczkę...

Zastanawiam się nad tem wszystkiem głęboko, bo mię to głęboko dotyczy. Przecież ta szkoła, to mój teren pracy — to nietylko klepsydra mojego dnia, na której liczę z utęsknieniem, rychło się piasek pięciu męczących godzin przesypie — to także klepsydra moich czynów, skala, którą odmierzam własne zdolności życiowe.

Narazie — wgryzam się w małe duszyczki, staram się przeniknąć ciemne zakamarki myśli, skrywanych zazdrośnie. A jak zazdrośnie chowają dzieci przede mną wszystkie przejawy swego życia, dowodzi choćby taki drobiazg:

Wkrótce po przyjeździe zdarzyło mi się widzieć zabawę tutejszych dzieci. Skupione na obszernym placu, noszącym szumne miano „Rynku", bawiły się w jakąś grę, podobną do „Berka" a polegającą na tem, że po wypowiedzeniu dość zabawnego djalogu, przebiegały pędem, starając się nie wpaść w ręce goniącego je „pastuszka". Djalog ten przytaczam w całości:

— Gęsi do dwora! — woła „pastuszek".
— Boim-sia.
— A czego?
— A lisa...
— A gdzie on?
— A w lesie!
— Cóż on robi?
— Jajka niesie!
— Wiele zniósł?
— Kopa — dwa...

Po otrzymaniu tej informacji, że lis „naniósł" już do lasu kopę jaj, pastuch rzuca się ku gromadce gęsi, by je połapać, a one jęły uciekać z piskiem, przewracając się i popychając, przypominając zaiste spłoszone ptactwo domowe.

Po chwili uciszyło się nieco. Schwytane ofiary stanęły pod drzewem i znów rozpoczęło wstępną rozmowę:
— Gęsi ,do dwora!
— Boim-sia....
— A czego?

Wyłoniłam się z cienia kasztanu. Na ten widok zarówno „pastuszkowie" jak „gęsi" — zamilkli, wybałuszając na mnie oczy.

— Bawcie się dalej, — rzekłam — ja popatrzę.

Milczenie.

— No, czego tak stoicie? Czy może wam przeszkadzam?

Znowu milczenie głębokie, tylko gdzie niegdzie stłumiony chichot. Zaczęłam z innej beczki:

— A co to za zabawa taka? Czy kto was tego nauczył? Sami tak wymyślili? No, jakże?

Po każdem zapytaniu stawiałam pauzę, czekając odpowiedzi, ale daremnie. Wreszcie odezwał się z gromadki głos jakiś:

— Ano... zabawa taka jest.

Tyle się dowiedziałam.

Postanowiłam jednak nie zrażać się. Niepytana i nieproszona, zaczęłam opowiadanie, jak to w innej szkole, gdzie przedtem byłam nauczycielką, dzieci bawiły się podobnie. Opisałam dokładnie tę grę, jak to tam mówią: „Boicie się czarnego luda? — Nie!" A potem wszyscy uciekają, tak, jak tu „gęsi" przed chwilą. Znam także wiele, wiele innych bardzo przyjemnych zabaw... Możeby chciały nauczyć się ich? Milczenie. Ciągłe milczenie, ucieszne dla nich, kłopotliwe dla mnie.

— Czy nie będziecie się już bawiły? Nie? No, to dowidzenia. Muszę już wracać do domu. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus....

— Na wieki wieków! — odkrzyknęły chórem z przyzwyczajenia.

Odeszłam wolnym krokiem. Dochodząc do mieszkania burmistrza, usłyszałam wyraźne okrzyki:
— Gęsi do dwora!
— Boim-sia...
— A czego??
— A lisa!

Zabawa rozpoczynała się w najlepsze...

XIII.

Prawie cały dzień zaduszek spędziłam na cmentarzu.

Było słonecznie, choć wietrzno i chłodno. Ostatnie, brunatne, przegniłe liście, zalegające mogiłki, powymiatano już i pozgarniano w kopce. Od czasu do czasu unosi się z wiatrem jeden straceniec, jakby porwany żądzą lotu i pędzi przed siebie, gna z cichym chrzęstem po ścieżkach piaszczystych, aż legnie kędyś na długi, zimowy spoczynek pod niskim murem cmentarza.

Cisza. Cisza i pustka. Żywi odeszli, zostawiwszy umarłym drobne dowody pamięci. Na niejednej mogiłce drga i chwieje się wątły płomyczek w lampce z barwnego szkła, na niejednej odcina się jaskrawą plamą od szarej, obumarłej darni świeża zieleń świerkowego wianka. Ktoś przyniósł papierowy bu-

kiecik i zatknął go w rozłupane ramiona krzyża, pochylonego ku ziemi, zmurszałego od mrozów i deszczów...

I ja przyniosłam swoje wianki. Plotłam je, kłując palce, z gałązek świerku świerku i sośniny, naniesionej z lasu przez Teosia. Porozkładałam te wianki na szarej płycie kamiennej tak, że przykryły niemal doszczętnie napisy, ongi złocone, dziś poczerniałe i starte. Największy z nich, najwyraźniejszy, chociaż najstarszy, obwieszcza przechodniowi: Oto grób rodziny Klimontowskich...

A chcesz poznać lepiej, co kryje ta wspólna mogiła, to przybliż się i czytaj. Długi, długi to poczet imion, z których niejedno brzmi już tylko w sercach pamiętliwych, choć starych...

Ciotka Eufemja lubowała się w długich epitafjach. Dlatego stary pan Klimontowski Hipolit, właściciel dóbr Klimontowce z czterema folwarkami, inicjator i prezes różnych związków ziemiańskich i były sędzia powiatowy, zmarły w latach ośmdziesiątych, prosi o ciche westchnienie za duszę swoją każdego przechodnia. Dlatego Hani i Zdzisiowi, dzieciom Emilki, dostał się utwór rymowany, owoc natchnienia Balbiny, która wraz z „ciotką rodu" ułożyła ten napis, dziś prawie doszczętnie zatarty. Ostatnie tylko słowa można odgadnąć raczej, niż odczytać:

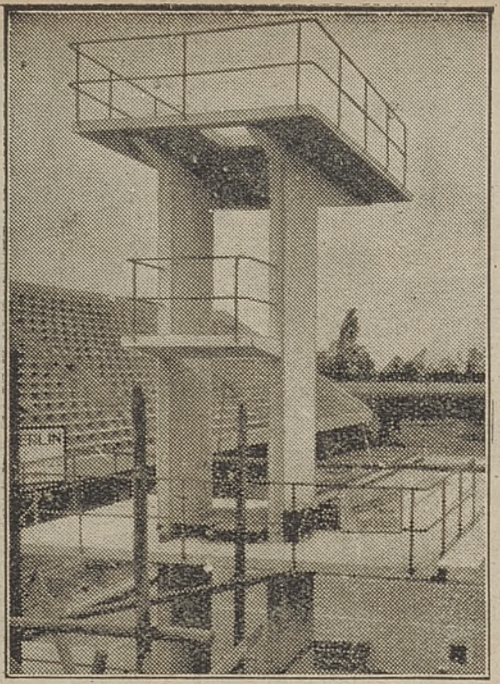
Rodziców osierociły,
Same do nieba wróciły.

Dziwna rzecz: Stara dama, oschła i przykra w obejściu, niecierpiąca (pozornie) żadnych objawów czułości, potępiająca wszelki sentymentalizm — sama obmyślała te napisy na grobie, sypiąc, jak z rękawa, rzewnemi epitetami, wzdychając do pobożnych o dobre słowo, pogrążając w żałobie rodzinę, bliższych i dalszych krewnych, przyjaciół oraz życzliwych zmarłemu ludzi.

W rocznicę śmierci matka moja otrzymała na bocznej ścianie grobowca płytkę mosiężną wypełnioną pochyłem pismem: „Helena z Klimontowskich Darowska, wdowa po śp. Antonim, artyście-malarzu, zgasła przedwcześnie, osierocając nigdy w żalu nieutuloną, jedyną córkę... etc.

Nieutulona w żalu córka, mała figa z zaplecionemi ciasno warkoczykami chodziła co święto na cmentarz w N. z Balbiną i uczyła się napamięć tych słów, sylabizując, ponieważ wtedy jeszcze słabo umiała czytać. Dlatego wyrył mi się w pamięci ten napis tak mocno, że do dziś dnia powtórzyć mogę bez zająknienia: Helena z Klimontowskich Darowska, wdowa po śp. Antonim, artyście-malarzu, zmarła... etc.

Wrażenie owej śmierci, poczucie zupełnego sieroctwa, nie były we mnie wówczas równie silne, jak rozsadzająca pierś duma, że oto ja jestem ową jedyną, w żalu nieutuloną córką. Oceniałam dziecięcem, małem serduszkiem powagę chwili i ważność własnej osoby. Nieraz w nocy długo nie mogłam usnąć: płakałam i wołałam z głębi zbolałej duszy: „Mamo! Mamo!" Ale we dnie, gdy cały dom roił się od ludzi, obnosiłam swoją żałobę, jak specjalne odznaczenie, które nie każdemu przypaść może w udziale. Była to jedyna może epoka mego dzieciństwa, kiedy zwracano na mnie więcej uwagi, to też starałam się, by to współczucie ludzkie wzmocnić i utrwalić.



Na olimpjadę, która odbędzie się na przyszły rok w Niemczech pobudowano już imponującą trampolinę.

Wymagało to nawet pewnych ofiar z mej strony. Adaś, który już wówczas przygotowywał się do szkół i miał ograniczoną swobodę, zaproponował mi pewnej niedzieli zabawę „w Indjan". Był to zaszczyt nielada, ponieważ ta właśnie zabawa należała do specjalności Adasia i liczyła się do rzędu „chłopczyńskich". „Dziewczyńskie" traktował już pogardliwie, jako przyszły uczeń gimnazjalny...

Olśniona wspaniałomyślnością przyjaciela, zdobyłam się jednak na heroizm:

— Nie będę się z tobą bawiła w Indjan...

— Dlaczego?

— Bo mi mama umarła i jestem w żałobie... — odparłam, nie mogąc jaśniej określić, jaki właściwie zachodzi związek między temi tak różnemi faktami.

— Hm... To szkoda — rzekł Adaś. — Jak ty myślisz, czy długo musisz być smutna i nosić tę żałobę?

— Nie wiem... Bardzo długo... Może całe życie? — odpowiedziałam niepewnie i łzy prawdziwego żalu stanęły mi w oczach.

— To i w królowę elfów nie będziesz się bawić? A w podróż naokoło świata? Ani nawet w domino i w loteryjkę? — zmęcał się nade mną okrutny, mały kat.

Serce mi się krajało, ale odparłam mężnie:

— Nie. Jestem smutna. Muszę być smutna i nie mogę się bawić... nawet w królowę elfów.

— Ha, szkoda! — powtórzył Adaś z respektem, a mnie łzy ciurkiem popłynęły z oczu i czułam się wtedy naprawdę biedną, skrzywdzoną, bardzo nieszczęśliwą sierotką.

Tego dnia długo płakałam, wtuliwszy głowę w rozpostarty szeroko gospodarski fartuch Balbiny, a ona gładziła mię spracowaną ręką po mokrej twarzy, mówiąc z rozrzewnieniem:

— Nie płacz już, nie płacz... Nie płacz, moja ty Krysieńko biedna, moja ty sierocino, moja ty...

Ciotka Eufemja, będąc zwolenniczką oszczędności, nie pozwoliła sprawić mi żałobnej sukienki.

— Niepotrzebny wydatek. Żałobę w sercu nosić trzeba — rzekła, wręczając Balbinie starą, zleżałą suknię bronzową w czarne centki. — Wystarczy, jeżeli Krysia ciemno ubierać się będzie.

Nosiłam więc tę dziwną „żałobę", brzydką i ciasną, (i tak ledwie starczyło, dowodziła Balbina) nosiłam ją z przykrością, ponieważ materjał był szorstki i brzydki i raził mój smak estetyczny. Nigdy, nawet w okresach największej biedy, nie miałam tak szkaradnej sukienki. Wszystko, co szyła mama kochanemi rękoma, wyglądało zawsze świeżo i ładnie, miało w sobie coś z wykwintu i dawało wygląd „pańskiego dziecka".

Strój ten, włosy, wyczesane szczotką, zmoczoną w wodzie, aby się nie kręciły nad czołem, twarzyczka szczupła i bladawa nadawały mi pozór małej sierotki z przytułku. W domu nazywano mię pół-żartem „mniszeczką". Owej smutnej i szarej jesieni, wlokącej się nieskończenie długo w głąb zimy, byłam naprawdę pożałowania godnem stworzeniem. Wszyscy domowi poczuwali się do obowiązku opieki nad osieroconem dzieckiem, ale nie umieli, lub nie mogli tego obowiązku dopełnić. Emilka, mieszkająca znów stale w Klimontowcach, była zanadto zajęta własną córeczką, wówczas już prawie dwuletnią Elą, a także przygotowaniami na przyjęcie nowego przybysza... Obdarzała mię od czasu do czasu roztargnioną, zdawkową pieszczotą. Miała, biedaczka, sama zbyt wiele kłopotów i trosk, by móc poświęcić więcej czasu i uwagi swojej kochanej, małej „przyjaciółeczce".

Pani Rymszyna zabierała mię codzień na godzinkę czytania i rachunków, ale podczas tych lekcji myśli jej pracowały nad zagadnieniem, co może w tej chwili porabiać Adaś? Czy zdołał już umknąć przed zmorą ćwiczeń gramatycznych i czy uda się go odnaleźć w parku przed obiadem?

Ciotka Eufemja zadawała mi co sobotę robótki na cały tydzień i strofowała często z racji zbliżającej się ósmej rocznicy urodzin moich... Resztą, to znaczy Janusz i ci nieliczni goście, którzy mieli dosyć odwagi, by w zamieć i wichurę odwiedzić Klimontowce, zainteresowanie moją osobą ograniczali do krótkich, banalnych pytań i uwag, rzucanych wówczas, gdy przypadkowo nawinęłam się komuś przed oczy:

— A cóż tam Krysia? Uczy się, ha? Pokażno, mała, swój kajet z dyktandem. Zobaczymy, jak to tam idzie...

Czasem ktoś z bardziej „zadomowionych" raczył uszczypnąć mię w policzek, mówiąc:

— Ależ ta Krysia rośnie, jak na drożdżach. Codzień chyba wyższa...



Londyńscy handlarze obchodzili onegdaj w kościele św. Marji Magdaleny swe oryginalne dożynki. Widzimy pochód z plonami w oryginalnych strojach z masy perłowej, udający się na nabożeństwo do kościoła.

Nieprawda. Byłam wątła i bardzo drobna na swój wiek. Adaś przerastał mię wówczas o głowę...

XIV.

Nie tak znowu daleko odbiegłam myślą z klimontowskiego cmentarza, jakby się mogło wydawać: przecież Zaduszki, to właśnie moje najboleśniejsze wspomnienie z dzieciństwa. Przecież to właśnie w ów dzień...

Śmierć matki spadła na mnie, jak grom z jasnego nieba. I nietylko na mnie — na wszystkich, pomimo, że spodziewano się jej, mówiono o niej półgłosem, jak o czemś nieuniknionem.

Na schyłku lata biedna mama była już tak słaba, tak słaba, że chodziła, czepiając się sprzętów i przystawała często dla nabrania w chore płuca oddechu. Do dziś dnia słyszę ten oddech krótki, świszczący, głośniejszy często od słów, które wypowiadała z wysiłkiem, urywając wpół zdania i walcząc z suchym, druzgocącym kaszlem.

O nieuleczalnej chorobie matki mówiono zupełnie otwarcie: Emilka z serdecznym niepokojem, ciotka Eufemja z pogderywaniem, dodając zawsze jakiś przytyk w stronę mego ojca skierowany, zaś poczciwa Balbina z płaczem:

— Już się ona, biedaczka, nie wybałuda z tego, nie... — szeptała, wzdychając.

— Ech, takie młode życie! Doprawdy, sensu w tem ani za grosz! — sapał pan Dziechciński, pokrywając zmartwienie głębszym, niż zazwyczaj, basem.

— Żebyś ty chociaż, Helciu, usłuchała dobrej rady i przeleżała w łóżku ten twój chroniczny bronchit... — upominała Emilka łagodnie, śledząc z pod oka pożółkłą twarz i chwiejne ruchy chorej.

— Już mi to chyba nie pomoże... — odpowiadała mama bezdźwięcznym głosem. — A w łóżku nie wyleżę za nic. Ja już oddawna sypiać leżąc nie mogę...

— Ot i skaranie Boże z kaszlem takim! Miałam ja kiedyś kaszel zadawniony, na balu za panieńskich czasów zaziębiwszy się, to tylko mlekiem z topionem sadłem wyleczyłam... Spróbuj i ty, duszko. Taż nie zaszkodzi, anuż i pomoże? — śpiewała przeciągle ciocia Józia i uderzała się pięścią w suchą pierś, na znak, że teraz dudni zdrowiem.

Wszystkie rady, perswazje i wymówki przyjmowała matka ze słodkim uśmiechem, przepraszając nieśmiało:

— Tyle kłopotu wam sprawiam... Tyle przykrości, aż wstyd... Dziękuję, że tacy dobrzy dla mnie jesteście... Ale ja tak sobie pocichutku, pomalutku... Może Bóg pozwoli, to wyżyję. Dla Krysi. A nie, to...

Milkła i przenosiła na mnie wzrok, pełen miłości i troski. Do ostatka, do końca troszczyła się tylko o mnie biedna, droga mama: o to, że źle wyglądam, że mi brak apetytu, że pewnie czuję się niedobrze:

— Czy ty aby trzewiczków nie zamoczyłaś, Krysiuniu? Wieczory teraz takie chłodne... i rosa... Trzeba uważać na siebie, dziecino...

Schylała się z trudem i próbowała cienkiemi, przezroczystemi palcami, czy mam napewno suche obuwie.

W początkach października, o dziwo, mama poczuła się znacznie lepiej. Kaszel ustał prawie zupełnie, nawet dotkliwe bóle w lewym boku, na które skarżyła się nieraz, ustąpiły. Sił tylko nie odzyskała jakoś. Chętnie przesiadywała w swoim pokoiku, na fotelu, który jej tam ciotka Eufemja kazała zanieść, zrzędząc przytem i łając, ile wlezie, na dobrowolne marnowanie zdrowia:

— Mówiłam: napyta sobie biedy! I napytała! Ale gdzie to Helcia była kiedy inna? Głupota czysta z tem wszystkiem i tyle. Pije teraz, co jej ten amor nawarzył. Mówiłam przecież... cicho, Acan! Mówiłam zawsze...

Reszta zdania rozpływała się w głębi domu, lub przechodziła w ostrą połajankę, skierowaną do którejś z dziewcząt służebnych:

— Trzep się! Trzep się pod piekarnią po nocy! Jeszcze sobie co niepotrzebnego wytrzepiesz! Gdzieżeś to znowu całą godzinę przesiedziała, hę? A jakże, myślisz, że ja nic nie wiem, nic nie widzę! Żeby ci tylko te spacery z Antkiem kowala bokiem nie wyszły...

O zmierzchu na woskową przezroczystą twarz matki występowały rumieńce. Zdawała się odzyskiwać siły, suche i gorące ręce szybko wykonywały robótkę. Od czasu do czasu podnosiła głowę, błyszczącemi oczyma wpatrywała się w blaski dnia, gasnącego za oknem, a potem przenosiła wzrok na mnie:

— Czem tybyś chciała zostać, Krysiu jak dorośniesz? — pytała.

Robiłam uroczystą minę:

— Będę malować obrazy, jak tatuś! — odpowiadam stanowczym tonem, wiedząc, że robię matce przyjemność temi słowami.

— Czy też ty dobrze pamiętasz tatusia, moja Krysiuniu? — wpatrywała się we mnie badawczo i dorzucała po chwili w zamyśleniu: — Bo mnie, to chyba będziesz pamiętać...

A potem ożywiała się nagle, mówiła dużo i z przejęciem:

— Jak tylko wyzdrowieję i nabiorę trochę sił, pojedziemy do miasta. Duża już z ciebie panna, musisz się zacząć uczyć na pensji. Założę pracownię hafciarską, a ty mi będziesz pomagała, prawda, córeczko? Mogłabym także dawać lekcje muzyki, lub francuskiego... Przecież to umiem... Będziemy żyły bardzo skromnie, ale na życie wystarczy... Czasem nawet pójdziemy do teatru. Ty jeszcze nigdy nie widziałaś teatru... Ale poczekaj, gdy tylko trochę podrośniesz... Pójdziemy razem na te wszystkie sztuki, które mię tak zachwycały dawniej...

— Wyzdrowiej prędko, mamo! — prosiłam z przymileniem, tuląc policzek do jej wychudłej ręki.

Kiedyś w takiej cudownej chwili rojeń na temat jasnej przyszłości, ujęła nagle twarz moją w obie dłonie i spytała głosem wzruszonym:

— Ale gdyby się stało inaczej... Gdybym naprzykład umarła... Czy mi przyrzekniesz, Krysiu, że będziesz zawsze dobrą dziewczynką i będziesz słuchała cioci Femci we wszystkiem? Ciocia Femcia jest bardzo zacna i trzeba jej słuchać...

— Nie mów tak, mamo! Nie mów tak! Ty nigdy nie umrzesz! — wołałam z rozpaczą, szlochając. — Będę grzeczna, będę posłuszna, ale ty nie mów, że umrzesz...

— Cicho... cicho... — uspokajała mię zmęczonym szeptem. — Widzisz, Krysiuniu, ja tylko tak... na wszelki wypadek... Trzeba uważać...

Pewnego razu, snując się po korytarzu, usłyszałam przypadkiem fragment rozmowy. (Ciąg dalszy nastąpi)

Przeznaczenie

— Mamy dość milutkich dzierlatek — odezwał się, wtrącając się do rozmowy książę Fryderyk Albrecht, ojciec sześciu córek. Pochodził z rodziny austrjackiej arystokracji, spokrewnionej z domem cesarskim. Ród jego słynął szeroko z ograniczonej inteligencji i dużej płodności.

— Mogę jeszcze poczekać — mówił następca tronu, przeczuwając atak na swoją wolność. Ci książęta austrjaccy nie nęcili go.

— Rannego wstania i wczesnego ożenku jeszcze nikt nie żałował — mówił szczęśliwy ojciec sześciu dorosłych, ale niezbyt dorodnych córek.

Do gabinetu wszedł lokaj i szepnął kilka słów panu domu. Stary książę podniósł się z fotela.

— Panowie, zwrócił się do gości. Żona poleciła mi oznajmić wam, że panny nudzą się, chciałyby tańczyć. Spojrzał na zegarek.

— To już po czwartej — zdziwił się. Jak ten czas szybko leci.

— Co zrobimy z panem młodym? — zapytał ktoś gospodarza, wskazując dyskretnie na nowożeńca, rozwalonego w fotelu i śpiącego z otwartemi szeroko ustami.

— Niech śpi, zadecydował gospodarz, robiąc wymowny ruch ręką w stronę spitego pana młodego.

W salonie panował miły chłód. Świeże powietrze płynęło w zacienionej staremi lipami części parku poprzez otwarte drzwi i okna. W przyległym mniejszym salonie rozbrzmiewał gwar i śmiech dźwięcznych głosów kobiecych. Z bocznej niszy sali balowej dobiegały przyciszone tony muzyki.

Salon zapełniły fraki i mundury gości weselnych. Powoli z mniejszego salonu poczęły się schodzić panie. Otworzono drzwi do sali balowej, muzyka runęła głośnemi tonami. Grano jakiegoś marsza.

Panna młoda stanęła w głębi salonu chłodna, obojętna i nieprzystępna. Etykieta nakazywała, żeby następca tronu z panną młodą otworzyli bal. Zbliżając się do niej następca tronu z trudem rozpoznawał w tej sztywnej wyniosłej postaci dawną Karinę. Jego Karinę, jego najumiłowańszą Karinę.

— Służę pani. Pochylił się przed nią w głębokim ukłonie.

Oparła rękę na jego ramieniu i szła automatycznie, nie wiedząc, co się z nią właściwie dzieje. Tańczyła bezwolnie dlatego jedynie, że mus etykiety tak nakazywał.

Obeszli kręgami tanecznemi salę dokoła. Następnie pierwszy drużba wyprowadził swą danserkę przez szerokie oszklone drzwi na taras kamienny. Stamtąd zeszli do parku.

— Karino — wypowiedział cicho, zatrzymując się u wejścia do alei grabowej, pod krzakiem rozkwitłego jaśminu.

Spojrzała na niego jak dziecko.

— Co ja poczonę, spłynęła z jej poblakłych ust cicha skarga.

Ujął jej obie dłonie i wtulił w nie swoją twarz.

— Dlaczego?... dlaczego tak się stało? — wyjęczał, jak człowiek ugodzony śmiertelnym ciosem.

Zalegla cisza. Nikt z nich dwojga nie umiał dać odpowiedzi na to pytanie. — Rozpacz mieli w sercu, żal i smutek. Łzy dławiły im słowa.

Karina skarżyła się dalej.

— Ja się tak boję... Ja nie mogę iść z nim. Co ja zrobię.

Odjął jej ręce od swojej twarzy i zatrzymał w swych dłoniach.

— Musimy oboje jakoś żyć księżno...

Doleciał ich rozgwar głosów ludzkich. Pary taneczne szukały ochłody na obszernym tarasie zamkowym.

Zawrócili. Szli wolno, jakby przytłoczeni ciężarem własnego bólu.

Przystanęła chwilę.

— Nie rozumiem komu to było potrzebne, żebyśmy się spotkali tam w Taorminie, żebym cierpiała i tęskniła.

— Dlaczego nie powiedziałem ci odrazu kim jestem, dlaczego ty chowałaś przede mną w tajemnicy swoje pochodzenie?

Padały z ich ust pełne żalu i smutku wyrzuty.

— Gdyby nie nasza wspólna tajemniczość i skrytość, ciągnął dalej, bylibyśmy dziś najszczęśliwszymi ludźmi.

Z trudem opanowała łzy.

Ruszyli dalej. Karina szła szybko, biegła nieomal. Ten szybki ruch uspokajał jej nerwy, hamował łzy pod powiekami.

Na progu sali zetknęli się ze spojrzeniem szarych, przenikliwych oczu księżniczki Kornelji.

— Czego ona chce odemnie? — pomyślał następca tronu z irytacją.

Kornelja, jakby nie zauważyła jego rozdrażnienia. Podeszła do nich z uśmiechem.

— Młodą żonę czekają starsze panie i proszą na górę do siebie.

Karina wzruszyła niechętnie ramionami i ociągała się z odejściem.

Kornelja wzięła ją pod ramię i pociągając lekko za sobą mówiła:

— Proszę cię do siebie. Chodź ze mną. Prowadziła ją przez hall, schody i długi korytarz, aż do sypialni księżnej, gdzie czekały na pannę młodą starsze panie, należące do rodziny.

Posadziły ją tu na jedwabiem krytym taburecie i z namaszczeniem zdejmowały z jej głowy welon i wianek, uwity z kwiatu pomarańczowego.

Sto lat jeszcze temu ceremonja oczepin odbywałaby się publicznie przy muzyce i śpiewach. Dziś ceremonja stara była już zarzucona i uchodziła za śmieszność.

Każda ze starszych pań całowała młodą mężatkę w czoło, życząc jej szczęścia, stałej miłości męża i pociechy z dzieci.

Uśmiechała się do nich bladym, jakby przyrośniętym do warg konwencjonalnym uśmiechem, oddawała im pocałunki i siedziała spokojnie przed lustrem, gdy garderobiana poprawiała uczesanie głowy. Robiła wrażenie mechanicznej lalki.

V.

Panna młoda odeszła i zniknęła z oczu rozbawionych gości.

Do następcy tronu podeszła księżniczka Gabrjela i rozpoczęła z nim ożywioną rozmowę. Stali oboje w drzwiach, wiodących na taras. Od strony sali balowej płynęła ku nim muzyka taneczna, dolatywał ich rozgwar roześmianych gości weselnych. Od strony parku przynosił wiatr zapach kwiatów i mocną woń wilgotnej ziemi. Z jednej strony gwar i pusty śmiech, z drugiej spokój i cisza.

Księżniczka przestąpiła próg i weszła na taras. Za nią podążył następca tronu.

— Tam za hałaśliwie — zauważyła, jakby usprawiedliwiając się.

Zeszli z tarasu szerokiemi schodami i skierowali się w głąb parku.

Zauważył, że skręciła w aleję przeciwległą od tej, po której tak niedawno przechadzał się z Kariną.

— Ładnie tu i przyjemnie, daleko milej niż na sali — zauważyła. — Nie lubię bezmyślnego kręcenia się.

Spojrzał na jej piękną sylwetę.

— Pani prawdopodobnie woli przebywać na świeżem powietrzu — rzekł, ażeby tylko coś powiedzieć, ażeby przerwać gnębiące milczenie.

— Jestem dzieckiem lasów i gór, nic więc dziwnego, że lubię przestrzeń, naturę i niebezpieczeństwa. Za wycieczkę w góry, za daleką przechadzkę po lasach z wielką przyjemnością oddam nie jeden, ale trzy bale.

— Więc nie czułaby się pani szczęśliwą w stolicy, w ciasnych ramach życia dworskiego?

Nie odpowiedziała bezpośrednio na to pytanie. Ważyła w myślach słowa odpowiedzi.

— Mam wrażenie, że nie nadaję się do życia w mieście. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się trochę smutno i jakby nieszczerze. Zresztą, jak książę widzi, nie nadaję się na kandydatkę do stanu małżeńskiego. Do naszej sfery już jestem cokolwiek za stara, mam przecież 27 lat. W inną sferę nie weszłabym, gdyż uważam, że nie mogłabym się dostosować do małych ambicyj świata drobnomieszczańskiego, plutokratycznego, czy nawet szlachecko-arystokratycznego. Może to nastąpiłoby wtedy, gdybym się zakochała, ale w to wątpię. Czuję, że w innej sferze każdy bez wyjątku starałby się względem mnie ustosunkować inaczej, niż względem innych swoich bliskich, czy znajomych.

— Dla rodziny swego wielkoksiążęcego małżonka byłabym albo ciągłą chlubą, drogocennym klejnotem, albo też stałą przyczyną do obrazy i pretensyj.

— Nie głupia — pomyślał. Głośno zaś powiedział:

— Niepotrzebnie pani krytykuje siebie. Z wszelką pewnością nie brakłoby księżniczce kandydatów do jej ręki i z naszej sfery, gdyby tylko pani chciała.

Zaśmiała się wesoło. Bawiła ją jego galanterja.

— W naszej sferze, zwłaszcza w obecnych arcydemokratycznych i republikańskich czasach, trzeba jak najwię-

cej pieniędzy, trzeba całych kopalń złota, a ja jestem biedna, jak mysz kościelna, nie mam ani złamanego szeląga. Proszę uważać na to, co mówię. Gdyby tu koło pana szła w tej chwili Idalja, Kornelja, Walerja, Joanna, czy któraś inna z młodych księżniczek, to pobiegłyby za nią wielemówiące spojrzenia, pobożne westchnienia, polityczne kombinacje i obliczenia, ale że to tylko ja, to... najwyżej żałują księcia.

Zerwała różowy mieczyk i przyglądała mu się z zainteresowaniem. — Niema nic piękniejszego nad naturę, nic równie doskonałego — rzekła, zmieniając temat rozmowy.

— Dla mnie osobiście niema niczego piękniejszego ponad śliczną, dobrze zbudowaną kobietę — odpowiedział, nie starając się ukryć szorstkości tego powiedzenia. Zły był na nią i to bardzo. Rozdrażniała go w jakiś niewytłumaczony sposób. — Czego ona chce odemnie — myślał. — Podpatruje mnie, naprowadza rozmowy na tematy drażliwe, gdyż nie wiem, co jej odpowiedzieć i co o tem wszystkiem myśleć.

Ona, jakby nie zauważyła jego rozdrażnienia, mówiła dalej spokojnie:

— Nie zgadzam się z księciem. Owszem i dla mnie prawdziwie piękna kobieta jest cudem z natury, ale nie doskonałością. Rzadko kiedy zewnętrzne walory kobiety harmonizują z jej duszą. A taka dysharmonja spotykana prawie zawsze tworzy jakąś plamę na piękności żywego posągu.

— Któż szuka duszy w ciele pięknej kobiety — oburzył się prawie, że szczerze. Szuka się w niem kobiety, zadowolenia powiedzmy estetycznego, jeśli już nie erotycznego. Dla mnie osobiście wystarczą jej kształty. Piękne nogi, piersi, blask oczu, zapach ciała... Był zły, więc starał się robić cynika. Chciał ją upokorzyć, dotknąć do żywego.

Nie obraziła się, nie oburzyła się na niego.

— Patrzymy na kobiety z różnych punktów widzenia — zauważyła. Trudno wymagać od młodego, zdrowego mężczyzny, ażeby zadowolił się jedynie duszą kobiecą. Ładnieby na tem świat wyszedł.

Czuł, że w ten sposób z nią nie wygra. Podniósł schyloną dotychczas głowę i spojrzał na nią wyzywająco.

— Boże, jaka brzydka — pomyślał. — Wie o tem z pewnością i dlatego mówi o duszy, ale idę o zakład, że za kroplę urody, chociażby takiej księżniczki Kornelji, oddałaby tę duszę.

— Czas nam już wracać — powiedziała. — Zapewne podają do obiadu.

Zawrócili.

Szli obok siebie w milczeniu. W milczeniu weszli na taras i do pustej już sali. Goście rozeszli się. Skinęła mu głową i znikła za drzwiami małego salonu.

— Nie będzie mów, ani toastów — pomyślał.

Dałby w tej chwili wszystko za samotność, za możność skupienia się, za możność uporządkowania myśli, ale nie mógł o tem w tej sytuacji marzyć.

Poszedł do swoich apartamentów. Zastał tu kamerdynera i adjutanta, czytającego gazetę. Oficer na widok następcy tronu, zerwał się, przyjmując postawę służbową. Książę uśmiechnął się do adjutanta życzliwie.

— Dobrze się pan bawi, panie rotmistrzu?

— Tak jest, wasza wysokość.

Poszedł do sypialni, przeprowadzony wzrokiem oficera. Począł przebierać się w smoking. Musiał jeszcze wziąć udział w obiedzie.

Wychodząc z pokoju, zetknął się z panem młodym. Książę Gorgonjusz szedł wolno, ściskając rękami obolałą głowę. Spał dotychczas, budzono go na obiad.

— Trochę... jakby tu powiedzieć... tak trochę zaprószyłem sobie głowę, — usprawiedliwiał się przed następcą tronu. — Musiałem odpocząć. Ale mam wrażenie, że goście i bezemnie bawili się dobrze.

— Goście? — No tak, goście bawili się dobrze, ale księżna Franciszka... — powiedział to z rozmysłem, samemu sobie naprzekór.

— Ach, ona, — mruknął lekceważąco książę — napewno nie zauważyła mojej nieobecności. To taka ryba bez temperamentu. Będę z nią miał trochę mitręgi, zanim ją rozruszam.

Targnęło coś w nim, coś się w nim złamało. W pierwszym porywie gniewu uniósł rękę, jakgdyby do ciosu.

— Ten kretyn, ten opój, śmie w ten sposób mówić o jego Karinie.

Opanował się, oprzytomniał.

— Jakie prawo miał on, człowiek obcy do ujmowania się za nią, która przecież jest cudzą żoną — myślał z goryczą.

— Dlaczegóż książę wybrał ją wśród tylu innych?

— No... młoda, ładna, zdrowa, a pan wie... krajowi jest potrzebny następca tronu.

Z trudem panował nad sobą. Jak rozpalone żelazo piekła go myśl, że jego najukochańsza kobieta ma być kiedyś w przyszłości matką dzieci tego zwyrodnialca.



W jesiennem słoneczku, — pogodnym rankiem, jakby żwawiej i weselej dąży dziatwa do szkoły.

Zabawa skończyła się około północy. Wszyscy byli tak przemęczeni, że nawet młodzi nie usiłowali przeciągać zabawy i udali się na spoczynek.

Po powrocie do swych apartamentów, następca tronu odprawił lokaja i adjutanta i siadł przy otwartem oknie. Zapalił papierosa. Był zadowolony, że się już wszystko skończyło. Liczył godziny, jakie go dzieliły od odjazdu pociągu. Pociąg odchodził o szóstej rano, mógł zatem odjechać, nie żegnając się z nikim. Ten dzień spędzony w tym starym zamku, wydał mu się wiecznością. Przeżył w ciągu kilkunastu godzin całe piekło męczarni.

Myśl jego szybka pobiegła do Kariny.

— Co ona teraz robi? — myślał. — Czy myśli o mnie, czy cierpi, tak jak ja? A może?... przecież to jej poślubna noc!

Zerwał się z miejsca, blady jak trup.

— Co za okrucieństwo! co za ohyda! — krzyknął.

W tej chwili ktoś szarpnął niecierpliwie klamkę i do pokoju wbiegła księżniczka Franciszka. Była w nocnej bieliźnie, bosa, twarz miała bladą, a w oczach widniał obłąkany strach. Cienka jedwabna koszula była pomięta, a pajęcze koronki przybrania zwisały w strzępach.

Dopadła księcia, objęła go ramionami i drżąc, poczęła mówić nerwowo:

— Sandro, nie daj mnie, broń mnie, ja nie mogę...

Tuliła się do niego, jak nieprzytomne z przerażenia dziecko. Drżącemi rękami trzymała się kurczowo jego ramion.

Nie wiedział, co robić, stracił zimną krew i panowanie nad sobą. Ta nadewszystko umiłowana kobieta tuliła się do niego ufnie, błagała o pomoc, a on nie mógł jej ratować. Gdyby nie był następcą tronu, a ona księżną panującą...

Gładził jej włosy, uspokajał ją. Próbował odsunąć ją od siebie, ale napróżno.

Znalazł się w nader trudnem położeniu. Nie wiedział, jak wybrnąć z sytuacji.

— Karino — szeptał — uspokój się, tak nie można.

Przytulona do jego ramienia, łkała, powtarzając:

— Zabierz mnie stąd, zabierz.

Drzwi skrzypnęły cicho. W progu stanęła księżniczka Gabrjela. Nie zdziła się ani zgorszyła na widok sceny, jaką tu zastała. Twarz miała skupioną i oczy pełne współczucia.

Zbliżyła się do księżnej i położyła jej dłoń na ramieniu.

— Chodź, tu nie możesz zostać — powiedziała miękko, ale stanowczo.

Księżna w odpowiedzi poczęła płakać gwałtownie i mocniej przywarła do kochanego człowieka.

— Nie pójdę tam do niego! Nie chcę, boję się!

— Pójdziesz do mnie. Przenocujesz w moim pokoju. Przestań płakać. Wiesz przecież dobrze o tem, że tu zostać nie możesz.

Ręce księżnej opadły. Pochyliła głowę i chwiejąc się, poczęła iść w stronę drzwi. Za nią szła Gabrjela...

I tego bólu los mu nie oszczędził...

Nazajutrz o świcie kareta dworska odwoziła następcę tronu na kolej.

VI.

I znowu jak przed rokiem był pogodny i piękny październik i znowu jak przed rokiem w Taorminie kwitły geranje, róże, jaśmin i caprifolium. Znowu jak przed rokiem na skalistem wybrzeżu Isoli Belli stał samotny turysta.

Nie był to już ten sam pełen zdrowia, zadowolony z życia mężczyzna. Postarzał się o lata całe. Na twarzy malowała się jakaś zaduma, głęboka powaga, a w oczach widniał smutek.

Stał na skalistym wyłomie i patrzył na daleki horyzont, na linję, w której różnobarwna, ruchliwa powierzchnia morza stykała się z granatowem niebem. Szumiące u jego stóp fale śpiewały rytm dziwnej pieśni, pieśni wspomnień, pieśni o dawnych przeżyciach.

Przed rokiem... A jemu zdawało się, że to już tyle lat upłynęło od tej chwili.

— Jak się świat zmienia — pomyślał. Byłem wtedy zwykłym oficerem gwardji, człowiekiem swobodnym jak ptak. Śmiało się do mnie życie, śmiał się cały świat i ja śmiałem się do wszystkiego.

Myślał o tych chwilach minionych tu na mieniącej się barwami kwiatów Taorminie, myślał o sobie z tych czasów jak o człowieku obcym, o kimś, którego obserwował, który był mu bliski, a który gdzieś się zatracił ze szczętem.

— I cóż mi pozostało? Kiedyś radowałem się życiem. A dziś jestem niewolnikiem korony, etykiety, obowiązków... — Dziś życie nie ma dla mnie uśmiechów.

Usłyszał poza sobą szelest kroków. Miałki żwir skrzypiał pod czyjemiś stopami.

Obejrzał się. Tuż przed nim stała Karina. Ta sama szczupła i zgrabna, ubrana w czarny trykot kostjumu kąpielowego. Nie wierzył swym oczom. W jej oczach czytał także zdziwienie.

Patrzyła na niego nie ruszając się z miejsca.

— Karina!

— Sandro, wyszeptała cicho jakgdyby bała się, że spłoszy wizję.

Ujął jej ręce i przywarł do nich ustami.

Nie padła w jego objęcia, nie związały się ich ramiona i usta nie zaznały rozkoszy pocałunku.

Drżała tylko i twarz jej kwitła rumieńcem krwi, żywo bijącej w tętnach.

Szli wzdłuż wybrzeża, trzymając się za ręce jak dwoje dzieci. Milczeli. Radość tylko wielka rozpierała im dusze i przyśpieszała bicie ich serc.

Nie wiedział co powiedzieć, jak się z nią witać.

— Nie przypuszczałem, że wasza wysokość będzie tutaj — powiedział wreszcie, siląc się na ton oficjalny. Dlaczego właśnie tutaj?

— Przyjechałam na dwa tygodnie ze starą ochmistrzynią. To ta sama, która przed rokiem... — dodała, spuszczając oczy ku ziemi.

Teraz zauważył bladość jej lic. W pierwszej chwili ożywił jej twarz rumieniec. Była to jednak chwila. Teraz krew uciekła jej z twarzy. Pod oczyma widniały sine cienie, a usta Kariny miały w tej chwili wyraz kamiennego bólu.

— A pan... a wasza książęca wysokość?

— Przyjechałem, by przypomnieć sobie, jak tu wygląda szczęście.

Poczęła mówić cicho, tak, że ledwie słyszał szept jej głosu. Przystanęli tuż nad samym brzegiem. U stóp ich szemrało morze.

— Widzę teraz, że nie powinnam była tu przyjeżdżać. Zbyt żywo jeszcze bolą mnie wspomnienia. Myślałam, że pobyt tutaj przyniesie mi ulgę, że złagodzi mój ból i tęsknotę. A tymczasem...

Zatrzymał się, odwrócił twarz w stronę morza i począł mówić bezdźwięcznie. Sam zdziwił się, usłyszawszy barwę swego głosu.

— Gdybyś mogła popatrzeć we mnie, gdybyś mogła zliczyć te wszystkie moje bezsenne noce, gdybyś mogła teraz w tej chwili zobaczyć mnie chodzącego obłędnie po zamkowym parku nocami i odczuć moją tęsknotę i mój żal... Zmarnowałem szczęście... Czy ty wiesz, co to znaczy zabić własne szczęście i własną duszę samochcąc?

Powiedział ostatnie zdanie, prawie krzycząc.

Chwyciła go za rękę, ścisnęła mocno.

— Uspokój się — powiedziała, tłumiąc łkanie w piersi. — Taka już nasza dola. Taki już nasz zły los.

— Przeznaczenie — powiedział jak echo.

Odwrócił się ku niej, spojrzał w jej szklące łzami oczy i powtórzył:

— Przeznaczenie. Poczęli znowu iść w milczeniu piaszczystem wybrzeżem.

— Czy pamiętasz jeszcze nasze wycieczki do Syrakuz i Arcireale?

— Czy pamiętam? — powiedział z wyrzutem.

— A czy pan wie — mówiła z jakiemś sztucznem ożywieniem, że księżniczka Kornelja wychodzi zamąż za swego kuzyna? Po ślubie jadą w podróż do Indyj. Liczyła ona trochę na pana. Podobał się jej pan i to nawet bardzo. Przez dłuższy czas myślała o panu, a nawet dość często o nim mówiła.

Uśmiechnął się.

— Dłuższy czas... to może cokolwiek za szerokie określenie, gdyż zaledwie pięć miesięcy upłynęło od chwili ślubu pani. W ciągu tego czasu potrafiła się Kornelja aż dwa razy zakochać. Wyglądała wtedy wieczorem tam w zamku jak motyl. Ma widocznie także duszę motyla i oblicza życie na dni, a nie na lata.

— Dobrze jej będzie z tem — odpowiedziała.

Rozmowa poczęła się rwać. Tyle mieli sobie do powiedzenia, tyle słów wisiało wprost na ustach. Nie mogli jednak mówić o tem, co ich obchodziło, co było treścią ich duszy.

Karina przystanęła. Wyciągnęła dłoń na pożegnanie.

— Muszę wracać do domu. Poczciwa ochmistrzyni z pewnością niepokoi się o mnie bardzo. Czy pan długo jeszcze zabawi w Taorminie?

— Przez kilka dni. Jestem tu od tygodnia.

— A myśmy przyjechały dopiero wczoraj.

Odeszli do kabin. Wkrótce spotkali się znowu. Karina owinięta była w szeroki płaszcz kąpielowy, na nogach miała lekkie sandałki, zupełnie, jak wtedy przed rokiem, tylko twarz jej nie promieniała życiem i radością i ruchy miała bardziej opanowane.

— Mieszkamy w tej samej willi — powiedziała.

Schylił się nabożnie do jej dłoni. Całował je długo.

— Czy spotkamy się dziś jeszcze?

— Będę po południu na plaży około piątej. Jeżeli pan przyjdzie...

— Jeżeli przyjdę...

Na długo przed piątą chodził niecierpliwie po plaży, spoglądając raz po raz na zegarek.

Przyszła. Nie dała długo czekać na siebie, ujrzał ją już zdaleka. Szła wolno, wypatrując go na brzegu. Była teraz w niebieskim kostjumie i takim samym kapeluszu jak przed rokiem.

Na widok jej postaci zdawało mu się, że jej ślub, jej uczta weselna, że wszystkie przejścia, to zły, koszmarny sen. Ogarnęło go mocne wzruszenie. Stał i patrzył w jego stronę jak zahypnotyzowany. Nie podszedł na jej spotkanie.

Podeszła do niego. Uśmiech ten dawny, ten z chwil ich szczęścia rozjaśniał jej twarz.

— Dokąd pójdziemy? — zapytała.

— Może na Teatrum Romanum.

Przyzwoliła lekkiem skinieniem głowy.

I znowu jak przed rokiem wędrowali razem, trzymając się za ręce, stromą i krętą ścieżką. Minęli pustelnię San Antonio, przeszli obok kamiennej sadzawki i starej studni na szeroką drogę, wzdłuż której rozłożyły się winnice. Weszli potem w ciasne uliczki miasta, minęli bramę saraceńską i znaleźli się wśród ruin dawnych wspaniałości.

Usiedli na głazach, patrząc na wspaniałą panoramę zatoki skąpanej w złotem słońcu. Morze, ciemny błękit nieba, winnice i ogrody kwietne zlewały się razem w jakiś przepiękny akord barw.

Siedzieli przytuleni do siebie i milczeli. Dobrze im tu było w cieniu zieleni i starych zwalisk. Dobrze im było w tem milczeniu, które czasem jest wymowniejsze od słów. Czas płynął im szybko, jak szybko płynęły ich myśli, powracające stale do szczęśliwych chwil. Siedzieli tu kiedyś razem i szczęście rozpierało im piersi. Wtedy mogli się jeszcze łudzić przyszłością. Dziś wszystko skończone. Trudno, trzeba pogodzić się z losem i żyć tą jedną chwilą złudy szczęścia, jaką los podarował.

— Wracajmy — powiedziała Karina z westchnieniem, podnosząc się z ciężkiego głazu.

Okrążyli miasto idąc brzegiem morza. Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy stanęli u wejścia do jej willi.

— Zapraszam pana na kolację.

Drzwi otworzyła im ta sama stara ochmistrzyni, która bawiła z Kariną w Taorminie przed rokiem. Dygnęła nisko, nie okazując zdziwienia.

— Zaprosiłam dziś księcia na kolację — powiedziała do niej Karina.

Ochmistrzyni skłoniła się jeszcze raz i znikła za drzwiami.

Weszli do saloniku. Pokój był pełen kwiatów. We flakonach i dzbanach, w glinianych wazach stały bukiety róż, jaśminu i różnych odmian kwietnych, które zwłaszcza jesienią napełniają powietrze Sycylji wspaniałą odurzającą wonią.

Do kolacji zasiedli w małym ogródku, mieszczącym się poza willą.

Wieczór był cichy, chłodny. Księżyc srebrzył korony drzew i kładł smugi mleczne na wysypane piaskiem ścieżki. Zdaleka dolatywał szum morza.

— Może wasza wysokość zechce łaskawie przejść się nad morzem? — zaproponował, podkreślając z naciskiem jej tytuł. — Przez czas trwania kolacji był sztywny i oficjalny, aż się dziwiła poczciwa ochmistrzyni, pamiętając, że bywał już w tym domu w innym nastroju.

Karina powstała, zarzuciła na ramiona długi, biały szal.

— Idziemy na przechadzkę — powiedziała do ochmistrzyni — wrócimy niebawem.

Stara ochmistrzyni skłoniła się dwornie. Nie powiedziała ani słowa. Tylko jej oczy patrzyły na Karinę jakby ostrzegawczo.

Potem długo patrzyła staruszka za nimi, jak szli skąpani światłem księżyca po białej plaży, w stronę Isoli Belli.

Wreszcie zniknęli przed jej słabemi ze starości oczyma i rozpłynęli się we mgle wstającej ponad morzem. Staruszka westchnęła cicho.

Usiedli na samym brzegu tak, że fale niemal dotykały ich stóp. Poza nimi ciągnęły się osrebrzone księżycem wzgórza, a przed nimi szemrał bezmiar wód.

Ogarnęła go szalona tęsknota za straconem szczęściem. Objął swą towarzyszkę łagodnym ruchem ramienia, przytulił ją do siebie i począł cicho rwanym głosem mówić jej o wielkiej swej miłości, o tęsknocie, która targała mu duszę przez tyle dni i tyle długich, nieprzespanych nocy.

Słuchała blada, skupiona, gładząc pieściwym ruchem dłoni jego dłoń, przyciągającą ją i trzymającą w łagodnym uścisku.

— Gdybyś chociaż trochę mogła mnie odczuć — żalił się przed nią jak mały chłopak.

Teraz poczęła mówić ona. Słowa płynęły z jej ust jak łzy i dźwięczały jak rozsypane na tafli szklanej perły.

— Mówisz o męce swojej — mówisz o sobie, a czy uważasz, że moja męka nie jest gorsza od twojej? Czyś ty nigdy nie wyobraził sobie moich koszmarnych strasznych nocy, w czasie których przeżywać muszę mękę? Czy miałeś wizję kiedykolwiek bydlęcia i to bydlęcia pijanego?! Coś w jej głosie płakało, coś się rwało, coś skarżyło na ludzi i świat.

Przyciągnął ją mocniej ku sobie, przechylił jej głowę i zamknął jej usta namiętnym długim pocałunkiem.

— Karino, rzućmy wszystko i jedźmy w świat! Do Ameryki, Chin, Japonji, do dżungli afrykańskich, wszystko jedno, gdzie. Świat stoi przed nami otworem.

Wyrwała się z jego objęć, zerwała się z ziemi i poczęła biec przed siebie na oślep, płacząc żałośnie jak zraniona mewa.

Pobiegł za nią, zatrzymał ją.

Przypadła do jego piersi twarzą zlaną łzami i trzęsła się od wewnętrznego wzruszenia, od rozpaczy, jaka targała jej duszę.

— Zapóźno... zapóźno — powtarzała. — Nawet gdyby można było przekreślić wszystko, gdyby można z naszego życia wymazać przeszłość, gdybyśmy mogli rozerwać nasze kajdany i wtedyby było zapóźno. Ja... ja... zo... ja zostanę matką.

Milczeli. Tragizm losu przygniótł ich ciężko ku ziemi. Cóż można było odpowiedzieć.

Słowa Kariny podziałały na niego jak uderzenie obuchem w głowę.

— Tak, miała rację. Mógł się wyrzec tronu, tytułów, przywilejów, ojczyzny, — ona mogłaby rzucić męża i rodzinę, ale dziecko... Jego dziecko, dziecko prawowitego męża... Dziedzic, może dziedziczka tronu i korony... To potęga! Ta potęga zacieśniała kajdany na jej rękach, bardziej, niż cokolwiek innego. Mogliby się wyrzec ich ludzie, mogli odepchnąć od siebie z pogardą... To wszystko jeszcze można było znieść, ale dziecko, to dziecko nieurodzone jeszcze robiło z niej niewolnicę, dawało do niej prawo mężowi. Cóż miał robić?

Burzyła się w nim dusza, buntowała się wola, ale z losem, aczkolwiek tragicznym, trzeba się było pogodzić.

Karina poczęła mówić smutnym głosem skarżącego się cicho dziecka.

— Kiedy poczułam, że zostanę matką, chciałam umrzeć, chciałam się otruć. Prosiłam Boga, aczkolwiek to grzech ciężki, żeby się to dziecko nie urodziło. Nienawidziłam tego żyjącego we mnie płodu, wszczepionego gwałtem wbrew mej woli, wbrew temu wszystkiemu, za czem tęskniłam i czego pragnęłam. Aż nagle, któregoś dnia zmieniło się wszystko. Ogarnęła mnie dziwna czułość, roztkliwienie serdeczne nad tem dzieckiem, którego jeszcze nie widziałam. Dziś żyję tylko miłością ku temu mojemu, nieurodzonemu dziecku. W myślach najczystszych pieszczę je, całuję i płaczę nad niem.

Płaczę, bo nie wiem, jaki los mu zgotuje świat, czy mu tu na tym świecie dobrze będzie. Rozumiesz. Jestem matką.

Poczuł jakąś dziwną pustkę w duszy i ogarnął go beznadziejny smutek.

Znowu nastało między nimi milczenie. Tylko u stóp ich szemrało morze odwieczną swoją pieśń, kładąc się wełnistemi falami na żółtym piasku.

Karina poczęła znowu mówić:

— To nie przeznaczenie, a może i ono... Już sama nie wiem, jak to wszystko się stało. Nam ludziom tej sfery, w której żyjemy tak rzadko kiedy uśmiecha się szczęście. Za władzę, za bogactwo, za życie w zbytku musimy płacić pustką w duszy i nudą. Ach, jak to życie jest czasami nudne i banalne! Ludzie, których nazywamy poddanymi naszymi, mają walkę o byt, mają troskę, ale za tą swoją ciągłą walkę, za niepewność jutra otrzymują wolność, jeśli nie całkowitą, to przynajmniej wolność uczuć i szczęścia osobistego. My, żyjąc w złotych, czy pozłacanych klatkach, musimy zadowolić się surogatem, przynajmniej my, kobiety.

Poczęli iść wzdłuż wybrzeża.

— Chmurzy się — powiedziała Karina.

Popatrzył na niebo. Na ciemnem jego tle błyszczały jak złote gwoździe gwiazdy. Księżyc płynął wśród nich, odbijając się mirjadem srebrnych iskier w sfalowanej toni morza. Nie było chmur... To tylko jej zdawało się... To tylko cień jej duszy padł na pięknie wypogodzone niebo. Mrok mieli w duszy i mrok leżał wokół nich.

Musieli się pożegnać. Całował długo jej drżące dłonie. Żegnał ją na zawsze. Rozstali się, nie powiedziawszy do siebie ani słowa na pożegnanie.

Tylko Karina, idąc z opuszczoną ku ziemi głową, wysypaną piaskiem ścieżką ogrodową, zawróciła w pewnej chwili z drogi, pobiegła za nim, objęła go ramionami i nachyliwszy ku sobie jego kształtną głowę, ucałowała jego oczy. Nie powiedziała przytem nic. Czuł jej wilgotne od łez policzki i poczuł słoność na ustach. Takie było ich pożegnanie.

Długo błąkał się jeszcze nocą wśród skał, zanim opanował wzburzenie.

Świtało już, kiedy cichemi, bezludnemi uliczkami wracał do hotelu. Gdzieś daleko, tuż nad morską tonią zaróżowił się skrawek nieba. Budziło się życie. Nie spostrzegł tego. W nim w tej chwili zamarło wszelakie życie, szedł jak automat. Nawet nie zdał sobie sprawy z tego, kiedy doszedł do hotelu i znalazł się w swoim pokoju.

— Proszę obudzić mnie wcześnie — rzucił zaspanemu służącemu, który przed nim drzwi otwierał. — Muszę wstać o szóstej.

Nie budzono go. Jeszcze przed szóstą zadzwonił i kazał podać po kąpieli śniadanie. O godz. 8-mej odjechał. (C. d. n.)

Raj kobiet

Sukienki wieczorowe
dla młodych panienek



K 28112 K 28110

Czas pomyśleć już o wieczorowej sukience. Wprawdzie do karnawału jeszcze daleko, ale już teraz wypadnie od czasu do czasu jakiś tańcujący wieczorek lub skromny balik. Zeszłoroczna sukienka jeszcze się dobrze prezentuje, ale fason jej już trochę niemodny. Na nową, pieniędzy — niema — trzeba więc będzie ją nieco przerobić dokupiwszy trochę tego samego materjału. A w jaki sposób, powiedzą nam podane dzisiaj modele sukienek, które po uszyciu przedstawiają się nader powabnie i miło.

K 28 112. Bardzo ładna sukienka dla młodej panienki z błękitnej tafty. Spódniczka już i tak szeroka, poszerzają jeszcze więcej oryginalnie naszyte falbanki. Przy dekolcie szeroka falbana i bukieciki drobnych, ciemnych kwiatków.

K 28 110. Sukienka z jedwabnej mory w ogromne grochy. Ozdobą jej jest nietylko tak bardzo modne obecnie marszczenie, ale i rękawki o nobliwym fasonie, który bardzo poszczupla całą sylwetkę.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł. przez P. K. O. nr. 207 393.

Co najbardziej interesuje kobiety angielskie.

Najliczniejszą organizacją kobiet w Anglji jest „Liga Kooperatystek", która zrzesza obecnie 78 tysięcy kobiet w 1615 kołach (w ostatnim roku przybyło 93 nowe koła).

Liga obok propagandy spółdzielczości spożywców zajmuje się pracą oświatowo-społeczną i gospodarczą. Ciekawe jest zestawienie tematów, które najczęściej były poruszane i dyskutowane na zgromadzeniach Ligi:

Na 1-szem miejscu stoi zagadnienie czasu pracy, kwestja: „Czy kobieta zamężna powinna pracować", następnie sprawa bezpłatnego dostarczania mleka dla dziatwy szkolnej, wreszcie rola kobiety w ruchu międzynarodowym.

Pozycja we śnie świadczy o charakterze człowieka.

Dwaj profesorowie uniwersytetu w Pittsburgu (U. S. A.) przeprowadzili przez dwa lata zrzędu po nocach osobliwe doświadczenia, polegające na filmowaniu śpiących. Celem tych zdjęć miało być stwierdzenie, iż człowiek nawet w głębokim śnie pozostaje w ruchu, a prócz tego, że pozycja śpiącego świadczy o jego charakterze.

Pierwsza teza została w zupełności potwierdzona przez dokonane zdjęcia. Człowiek np. przyzwyczajony do spania z ręką podłożoną pod głowę, będzie tak długo kręcił się we śnie, przewracał z boku na bok, aż znajdzie właściwą dla siebie pozycję. Okazuje się, iż nawet pogrążony w głębokim śnie człowiek wykonywa co pewien czas różne ruchy, zmienia pozycję, aby ulżyć zmęczonym mięśniom.

Druga natomiast teza: poznawanie charakteru człowieka z pozycji, jaką przybiera we śnie, jest conajmniej ryzykowna i dowolna.

Otóż obaj eksperymentatorzy twierdzą, iż ludzie, którzy śpią skurczeni, podkulają we śnie nogi — są to ludzie słabego charakteru, bojaźliwi, ostrożni w życiu. Natomiast ci, którzy śpią z rozrzuconemi rękami, lub na krzyżu — prosto z wyciągniętemi nogami — są to charaktery twarde, mocne, ludzie o bujnej fantazji, życiowo odważni. Bądź co bądź zdjęcia Pittsburskie są o tyle ciekawe, iż ujawniają ustawiczną grę mięśni i zmianę wyrazu twarzy które zachodzą we śnie i są odbiciem różnych przeżyć duchowych, snów i wspomnień.

Ze świata

Wieloryb przepłynął od bieguna do bieguna

W Oslo otrzymano wiadomość, że jeden z norweskich parowców wielorybołówczych upolował na południowym Oceanie Lodowatym, w pobliżu wyspy Kresuelon, wieloryba, w którego warstwach tłuszczu znaleziono znaczną plombę ołowianą, świadczącą, że wieloryb postrzelony był tą plombą i w ten sposób oznaczony latem roku ubiegłego w pobliżu Spitzbergu.

Upolowany więc wieloryb zdołał w ciągu roku przepłynąć z pod bieguna północnego pod biegun południowy.

Nadmierne palenie sprzyja sklerozie

Fizjolog wiedeński, dr. Fellner, przeprowadził przy licznych sekcjach zwłok ścisłe obserwacje nad zwapnieniem arteryj i doszedł przytem do arcyciekawych wniosków. Stwierdził mianowicie, że niema wybitnych różnic przy sklerozie między alkoholikami a niealkoholikami, natomiast objawy sklerozy są częstsze i cięższe u palących nadmiernie (powyżej 25 papierosów na dobę) w stosunku do ludzi wstrzemięźliwych w konsumcji tytoniu lub też wcale nie palących. Jeśli obserwacje dr. Fellnera znajdą potwierdzenie w kołach medycznych, konsekwencją ich będzie maksyma: alkohol nie prowadzi do zwapnienia żył, nikotyna w większej ilości — tak.

Obsługa lekarska przez radjo

Rząd włoski polecił państwowemu towarzystwu radjotelefonicznemu „E ar", zorganizować obsługę lekarską przez radjo. Udzielanie porad i wskazówek lekarskich przez radjo odbywa się we dnie i w nocy na każde żądanie. Radjostacja rzymska znajduje się w kontakcie z najwybitniejszymi lekarzami, którzy, zgodnie z umową, obowiązani są dawać szczegółowe informacje i udzielać porad w wypadkach nagłych. Centrale rzymskie obsługują całe Włochy. Pierwsza inicjatywa po wprowadzeniu tej inowacji wyszła z Belgji, gdzie już w roku 1927 zorganizowana została pomoc lekarska przez radjo dla pasażerów na morzu. Od tego czasu przyłączyło się do organizacji 26 państw.

—o—

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie
od dnia 3. XI. do dnia 9. XI. 1935 r,

Niedziela, dnia 3 listopada 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.30 Transmisja nabożeństwa 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny z Łodzi. W przerwie o godz. 13.00 fragm. słuchowiskowy z dram. „Noc tysiączna druga" 14.00 Odczytanie noweli p. t. „Kazus" 14.20 Muzyka z Płyt 15.00 Godzina rolnika 16.00 Kukiełki śląskie — obrazek dla dzieci 16.15 Koncert orkiestry dętej 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.40 Migawki regjonalne 18.00 Utwory Sibeliusa wykona Kosti Vehanen 18.3 Noce Teresy — słuchowisko 19.25 Wiadomości sportowe 19.30 Muzyka salonowa 19.45 Co czytać 20.00 Koncert 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Wesoła Fala Lwowska 21.30 Nad brzegami jeziora trockiego — feljeton 22.00 W dzień św. Huberta — audycja myśliwska 22.45 Muzyka lekka taneczna.

Poniedziałek, dnia 4 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik Południowy 12.15 Koncert Małej Orkiestry P. R. 13.25 Chwilka dla kobiet 15.30 Muzyka lekka 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Koncert muzyki lekkiej ze Lwowa 16.45 Skecz p. t. „Chiński serwis" 17.00 Obrazki z życia dzieci ulicy — reportaż 17.15 Minuta Poezji 17.20 Pieśni w wykonaniu Ireny Barday i muzyka z płyt 17.50 pogadanka B. Winawera 18.00 Recital Grażyny Bacewiczówny 18.30 Zwycięstwo Polski w Zawodach Balonowych aud. dla dzieci 18.45 Muzyka taneczna 19.00 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja żołnierska 20.30 Poulenc - Trio na obój, fagot i fortepjan 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Chór Dana 21.30 współczesny Kraków literacki 22.00 Koncert symfoniczny 23.03 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 5 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół (dla dzieci młodszych) 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.30 Melodje operetkowe z płyt 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Koncert zespołu Wiktora Tychowskiego 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Polski silnik zdobywa świat odczyt 17.15 Zespół Adamskiej Grossmanowej 17.50 Encyklopedja mówiona 18.00 Zoltan Kodaly: „Hary Janos" z płyt 18.30 Reportaż literacki — Reymontowska wieś Lipce 18.45 Muzyka jazzowa 19.00 Wiadomości rolnicze 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Pogadanka muzyczna 20.10 Koncert symfoniczny ze Lwowa 22.30 Mity i baśnie Śląska Opolskiego feljeton 22.45 Nowa konstytucja Polska — odczyt w jęz. francuskim 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 6 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik Południowy 12.15 „Lekarz szkolny i opieka domowa" pogadanka 12.30 Mała orkiestra Polskiego Radja 13.25 Chwilka dla kobiet 15.30 Zespół Bodenskiego 16.00 Zagadki muzyczne dla dzieci starszych 16.20 Pieśni Schuberta 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 Odczyt z cyklu „Dyskutujemy" — wygł. Stary Doktor 17.20 Zespół Arkadjusza Flato 17.50 Świat się śmieje 18.00 Koncert kameralny 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Mało znane utwory symfoniczne — z płyt 19.00 Porachunkowe sprawy — feljeton 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Wesoła audycja muzyczna ze Lwowa 20,45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Twórczość Fryderyka Chopina — koncert 21.40 Kwadrans poezyj 22.05 Muzyka lekka 23.05 Muzyka taneczna,

Czwartek, dnia 7 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół średnich 13.00 Utwory Ryszarda Straussa — z płyt 13.25 Chwilka dla kobiet 15,30 Piosenki 16.00 Co wam się podoba? pogadanka dla dzieci 16.15 Z tysiąca i jednej nocy koncert 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Kolonje niemieckie i włoskie w Afryce 17.50 Książka i wiedza 18.00 Recital skrzypcowy Hugo Kolberga 18.45 Koncert 19.00 Nowiny leśne 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Mała Orkiestra P. R. i Mieczysław Fogg 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Zegarek — premjera słuchowiska 21.35 Nasze pieśni 22.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 8 listopada 1935 r.

6,30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja szkolna 12.40 Orkiestra Stanisława Ferszko 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.30 Muzyka lekka 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Orkiestra Seredyńskiego ze Lwowa 16.45 Listopad na niebie i ziemi — pogad. dla dzieci 17.00 Obserwatorjum wysokogórskie na Szczycie Rozśpiewanym 17.15 Wiersze Wawrzyńca Czereśniewskiego 17.30 Koncert solistów 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Koncert starej muzyki 18.45 Muzyka 19.00 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.00 Aktualny monolog 20.10 La serva padrona — opera komiczna 21.35 Dziennik wieczorny 21.50 Utwory Karola Szymanowskiego 22.20 Muzyka taneczna

Sobota, dnia 9 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Orkiestra Alberta Katza 13.00 Pieśni i arje w wyk. R. Stracciari 13.25 Chwilka dla kobiet 14.30 Muzyka lekka 15.00 Odczytanie fragm. z noweli Conrada „Jądro ciemności 15.30 Mała orkiestra P. R. 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Kraj za ścianą — reportaż 17.15 Nowości z płyt 17.45 Świat naszych zwierząt 17.50 Nasze miasta i miasteczka 18.00 Wesoła audycja dla dzieci 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społeczna 18.45 Jan Kiepura z płyt 19.05 Jak się dwa chłopi bez fajke stowarzyszyli 19.35 Wiadomości sportowe 20.00 Bunt bajek — wesoła audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 21.30 Humor regjonalny 21.00 Audycja dla polaków z zagranicy 22.00 Koncert popularny.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

JAKŻE TRUDNO...

Gdy myśl się gubi stale w niespokojnej rozterce —
Jakże trudno oddalić, co serce gnębi, trudzi,
Gdy myśli w głowie huczą, jakby szaleńcze scherzo...
Co było — nie powróci... Próżno wyciągać dłonie
Za czemś, co nieuchwytne. Wspomnieniem serce smucić.
...Lecz przeszłość tak jaskrawo barwami szczęścia płonie,
Że trudno jest oczy w inną stronę gdzieś zwrócić...
— — — — — — — —
Jakże trudno jest nieraz z udręki się obudzić,
Gdy myśl się gubi stale w niespokojnej rozterce...

Danuta Wyrybkowska.

CHCIAŁABYM

„Mała Konwaljka“. Ostatnim listem i piękną fotografją, zrobiłaś na mnie, „Konwalijko“, jakieś dziwne wrażenie. Dzisiaj nie umiem go jeszcze konkretnie określić, ale wiem, że gdybyś kiedyś potrzebowała pomocy i życzliwości, pierwsza bym Ci podała rękę. Nie wiem, czem mi tak głęboko przemówiłaś do serca, czy pełnemi prostoty słowami, czy też przesmutnem spojrzeniem Twych oczu z fotografji. Śliczna jesteś w tem swoim zadumaniu, z melancholijnym wyrazem twarzy, patrząc na Cię, przypomina się coś dobrego, bliskiego i ciepłego, jak bratni uścisk lub dłoń matki. Chciałabym Cię kiedyś przytulić i powiedzieć Ci, abyś się życia nie lękała, bo napewno okaże się dla Ciebie łaskawe i przyniesie Ci szczęście. Zasługujesz na nie, Smutny, Śliczny Kwiatku!

Przesyłam Ci dzisiaj do cichego, „zaczarowanego“ dworku, w którym mieszkasz — uśmiech jak najpromienniejszy, taki, o jaki prosisz.

DLACZEGO?

„Ryś“. Bardzo chętnie przyjmuję Pana do naszego grona, również przesyłam w imieniu Pana pozdrowienia „Halince“.

Dlaczego przesłał Pan tak skąpe słowa? Chyba zdobędzie się Pan wkrótce na dłuższy list?

„BARDZO LUBIĘ PISAĆ“ — MÓWI „JAGODKA“

„Jagódka z Borów Tucholskich“ pisze: „Jestem 19-letnią brunetką o czarnych, miłych oczach. Chciałabym za pośrednictwem „Krainy“ poznać jakąś sympatyczną osobę. Ponieważ bardzo lubię pisać, na każdy list dam odpowiedź“.

Czy słowa te zachęcą do napisania paru słów do „Jagodki“?

BARDZO MI MIŁO

„Echo II.“ Do pseudonimu Pani dodałam cyfrę II., gdyż w „Krainie“ znajduje się już jedna Sympatyczka, która posiada taki sam pseudonim.

Pyta Pani, jak się przekazuje korespondencję za mojem pośrednictwem? Bardzo prosto: wystarczy przesłać mi list zamknięty w kopercie, zaopatrzonej w pseudonim osoby, której ma być doręczony, oraz dołączyć znaczek 25 gr. Resztę już sama załatwię!

Do „Krainy“ bardzo mi miło Panią przyjąć. Oby się Pani w niej czuła jak najlepiej.

Chciałaby Pani napisać do „Rybaka z Helu“, gdyż interesują Ją Kaszubi? Zapewne dlatego, że zna Pani ich życie i jest malarką — portrecistką?... Pewna jestem, że „Rybak z Helu“ odpowie Pani na list i w ten sposób nawiąże Pani bliższy kontakt z Kaszubszczyzną. W przekazaniu korespondencji pośredniczę jak najchętniej.

Kończąc przesyłam Pani serdeczne pozdrowienia, oraz proszę o przesłanie mi bezpośredniego adresu, gdyż podany nie wystarcza mi zupełnie, gdyż w ten sposób przekazywana korespondencja prawie zawsze się wraca, nie odebrana w przepisanym terminie.

...I ZNOWU SIĘ DO MNIE KIEDYŚ ODEZWIESZ?

„Smutna Mirjam.“ Kochanie, prośbie Twojej uczyniłabym chętnie zadość, jednakże „Kraina“ jest zupełnie „bezpartyjną“, więc umieszczenie Twego apelu raziłoby może niejednego. Zostawimy go więc w cieniu! Myślę, że nie będziesz mi brała tego za złe, Drogo „Mirjam“ i znowu się kiedyś do mnie odezwiesz?

CIESZYŁABYM SIĘ

„Waluszka“. Trudno mi uwierzyć w tę „nieznośną naturę“ Pani. Kto potrafi tak miło pisać, nie może być nieznośnym. Stanowczo nie!

Prosi Pani o przyjęcie do naszego grona. Z miłą chęcią. „Kraina szczerości“ dla tak miłych osóbek, jak Pani, zawsze jest szeroko otwartą, nawet chociaż te osóbki piszą, że są... nieznośnemi.

Ciekawa jestem, jakie wrażenie zrobi na Pani moja odpowiedź i czy rzeczywiście obdarzy mnie Pani zaufaniem i będzie pisywała do mnie długie listy? Cieszyłabym się bardzo, gdyby tak było.

RADA NA NUDY — PRACA...

„Wesoła Maniuta“. Chciałaby Pani napisać do „Miry z Pomorza“, tylko nie posiadając adresu, nie wie, jak list doręczyć? Otóż najlepiej będzie, gdy list wraz z 25 gr. znaczkiem na dalszą przesyłkę prześle Pani mnie, a ja zkolei dostarczę go adresatce. Prawda, że niewielka filozofja?

Pyta Pani również o lekarstwo na nudy?... Taka młoda osóbka, jak Pani, nie powinna się nigdy nudzić. Nudy przy dobrych chęciach można zwalczyć z powodzeniem. W jaki sposób? Zabrać się do pracy: haftować, szydełkować, czytać dużo, zapisać się do towarzystw, a zajęć będzie wbród i na nudy czasu nie wystarczy. Proszę, niech Pani spróbuje i znowu kiedyś do mnie napisze, czy moja rada poskutkowała — zgoda?

Pozdrowienia, załączone przez Panią dla „Czarnego Olka“ i „Dyzy“ — przekazuję.

Acha! Byłabym zapomniała o najważniejszem: w redakcji znajduje się dla Pani list, proszę się więc po niego zgłosić.

TROCHĘ O PLAGJATACH

„Ika“. Na temat plagjatów mogłabym z Panią długo mówić, jednakże zbyt mało miejsca na to w „Krainie“. Jedno tylko powtarzam: nawet kilka słów wziętych z cudzego utworu zasługuje na potępienie i na napiętnowanie. Bo niech Pani pomyśli, coby to było, gdyby tak wszyscy chcieli bawić się w naśladownictwa i dla zaspokojenia sumienia machnęli by ręką i usprawiedliwili się słowami: „et, tacy plagjatorzy, jak ja, nie będą długo istnieli!“ W ten sposób sprawy nie można traktować, chyba sama to Pani przyzna?

A teraz kończę już o plagjatach, dziękuję Pani ślicznie za miły list, za serdeczne słowa i ślę Jej dużo, dużo pozdrowień.

DZIĘKUJĘ!

P. Wł. P. z B. Ślicznie dziękuję Pani za pamięć i pozdrowienia, oraz łączę ich dla Pani również moc.

„IDŹ I WALCZ“...

„Cyganka z gondoli złudy“. Kochana Dziewczynko! Pragnęłam Ci pomóc życzliwemi słowami, wlać trochę otuchy do serca, dać coś od siebie i oto widzę z ostatniego Twego listu, że nic właściwie nie zdołałam zmienić w Twem usposobieniu. Za dużo w Tobie, Kochanie, goryczy, więc nawet czyjeś słowa współczucia nie znalazły u Ciebie zrozumienia, bowiem pragnęłabyś czegoś więcej od ludzi — pracy, ciszy i równowagi. Rozumiem najzupełniej, że to dałoby Ci zadowolenie, ale... nie zawsze można otrzymać to, coby się chciało i tak samo nie zawsze można dawać co by się chciało.

Piszesz przy końcu listu: „świat jest... piękny... życia jest bajką... ludzie są dobrzy“...

Gdy to pisałaś, wiem, że nie myślałaś o sobie, słowa te były zakłamane — wiem, że cierpisz. Nie chcę pocieszać, bo słowa „pociechy“ mogą się czasem wydać banalnemi, ale zacytuję Ci niżej przepiękny wiersz Juljusza Słowackiego, który, proszę, rozważ sobie dobrze:

„Noś-że ty ducha w tej cielesnej glinie,
A nie lękaj się, gdy wiatr w oczy bije
Z błyskawicami. Na końcu żywota
Czyny człowiecze waży szala złota.
Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana
Są policzone i nie ginie jedna
Kropelka, ani biała, ni różana,
Lecz każda waży, i ważąc wyjedna
Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana.

CZEKAM

„Opuszczona Owieczka“. Obszerny list, w którym opisała mi Pani szczegółowo o swoich zmartwieniach, zamiłowaniach i zajęciach, odczytałam z wielkiem zainteresowaniem.

Szczególnie uderzyły mnie słowa, skreślone na bileciku. Krótko na nie Pani odpowiem: nie warto przejmować się niedorzecznemi słowami jakiegoś ograniczonego człowieka, najlepiej przejść nad niemi do porządku dziennego; a czy słowa te mają jakieś znaczenie przekona się Pani sama korespondując dłużej z Sympatykami „Krainy“. Proszę, niech Pani mi ufa i również z całem zaufaniem odnosi się do członków naszej ogromnej „Rodziny“, a wszystko będzie dobrze.

Na zakończenie dziękuję Pani gorąco za przepiękną fotografję, którą otrzymałam w tych dniach. Jest Pani na niej tak bardzo smutną, że mimowoli chciałoby się czemś rozweselić te śliczne, ogromne oczy Pani i pobudzić do uśmiechu o żałosnym wyrazie usta. Nie wiem tylko, jak to zrobić! A może Pani uśmiechnie się „tak bez niczego“ i taki promienny uśmiech prześle mi na zdjęciu? Czekam, Droga Pani i płonę z ciekawości, czy będzie Pani do twarzy z uśmiechem, bo z rzewnem zadumaniem cudownie. Łączę uściski i pozdrowienia.

NAPISZCIE DO „MAŁEJ MERY“!

„Mała Mery“ czuje się bardzo osamotnioną, gdyż rodzeństwa wogóle nie posiada, a także nikogo, skim mogłaby podzielić swoje myśli. Może więc napisze ktoś do Niej z „Krainy“?

„Mery“ jest jasną blondynką o naturalnych lokach, niewysoka, niełądną, ale powszechnie lubianą. Lubi ludzi wesołych, ale nie znosi zarozumiałych. Łączy miłe pozdrowienia dla „Sympatycznego Przyjaciela“ i „Antocha“, prosząc tych Panów o skreślenie do Niej miłych listów.

ODEBRAŁAM!

„Ari“. Całusy i pozdrowienia — odebrałam. Bardzo dziękuję!

Pozatem ogromnie cieszę się, że nasze liczne grono znowu powiększy się o jedną sympatyczną osóbkę, jasną blondynkę o niebieskich oczach, średniego wzrostu, lat 20, miłośniczkę jazdy na rowerze.

Ta osóbka właśnie zapytuje się „Sokoła z Mazowsza“, czy jest członkiem Tow. Gimn. Sokół, czy też pseudonim ten wybrał sobie z innych względów, oraz wyraża nadzieję, że z pośród tak licznego grona członków „Krainy“, znajdzie się ktoś, kto do Niej napisze.

Czy nadzieje ziszczą się — pokaże nam najbliższa przyszłość.

POMIMO „WRZASKU“ I „KRZYKU“

„Te — Em“ skarży się, że nie otrzymał dotychczas żadnego listu, ale humor jeszcze ma, skoro napisał taki oto wierszyk:

„Nikt nie chce do mnie napisać liściku,
Ani poprosić, abym ja napisał,
Wszak tylem „wrzasku“, tylem zrobił
„krzyku“
Czy z Sympatyczek nikt go nie usłyszał?

Pozatem „Te — Em“ dziękuje „Wesołej Wandulce“ za pozdrowienia i ogromnie ucieszyłby się liścikiem od Niej, dalej pozdrawia „Cyganeczkę“ — „Verte“ i „Nygusa“.

Wiersze: „Marzę“, „Dwie sine chmurki“ i „Bawmy się“ są już znacznie lepsze od poprzednich, ale jeszcze, za mało wyrobione, aby je można wydrukować. Dziękuję Panu także za odkrycie przede mną swej tajemnicy — chociaż domyślałam się, że jej sens będzie taki. Po napisaniu powieści, proszę nam ją przesłać do przejrzenia. Jeżeli będzie dobra przyjmiemy ją jak najchętniej.

„OŚMIELIŁAM SIĘ NAPISAĆ I JA“

„Samotna Tuśka z Borów Tucholskich“ przesłała mi bardzo króciutki liścik, w którym prosi o przyjęcie do „Krainy“ i podanie apelu Bardzo chętnie spełniam jedno i drugie życzenie Pani — to ostatnie za pomocą podania części listu do druku:

„Ośmielam się i ja kilka słów do Pani napisać i prosić o łaskawe wliczenie w poczet Jej sympatyków. Pragnę w „Krainie“ znaleźć kogoś, komu mogłabym zaufać i drogą korespondencji dzielić się myślami i niespodziankami losu.

O sobie powiem krótko: liczę lat 18-cie, jestem blondynką o niebieskich oczach i bardzo wesołą istotą.

CZY WIECIE?

„Samotna Oleńka“. Hallo! Drodzy Sympatycy „Krainy“! Czy wiecie, że „Ola z Wesołej Dwójki“ zmienia swój dotychczasowy pseudonim na „Samotną Oleńkę“? Wiem, że Wam będzie żal tej wesołej „Oli“, wiernej i znanej Sympatyczki, ale musimy się wszyscy pogodzić z Jej nowym pseudonimem, którego wybór ma swoje głębsze uzasadnienie. Otóż dwie koleżanki „Oli“ — „Ina“ i „Dusienka“ wyjechały do innej miejscowości i „Ola“ została sama. Teraz już wszyscy wiemy dlaczego przybrała ten nowy pseudonim, prawda?

Porzucam jednak sprawę zmiany pseudonimu i odpowiadam Ci, „Oleńko“ na postawione mi w liście pytania: a więc Twoje przypuszczenia w pierwszym i drugim wypadku są mylne. Dlaczego Pani nie odpowiada na listy: „Maryna“ — „Tabu“ — „Jot — Bor“ i „Rysiek Szczery“ — nie wiem, może wymienieni Sympatycy sami się wytłumaczą?

Opisanie wrażeń z wycieczki do biskupińskich wykopalisk bardzo mnie ucieszyło, gdyż osobiście interesuje się również odkrytą osadą. Za uściski — dziękuję Ci, Kochanie i ślę serdeczne pozdrowienia.

UWAGA!
„MARZYCIELU Z POD KOŚCIANA“

„Wesoła Wandulka“. Pisze Pani, że dla każdego znajduje jakieś miłe słówko — trudno nie znaleźć Droga Pani, kiedy każdy list jest tak serdeczny i wylany, że nie sposób się za niego odpłacić, czem innem, jak miłem, jasnem słowem.

Załączone przez Panią pozdrowienia dla „Małej Pieszczotki“ — „Szatyna 31“ i „Marzyciela z pod Kościana“ — przekazuję. A możeby „Marzyciel“ napisał kilka słów do „Wesołej Wandulki“, która zna bardzo dobrze okolice Kościana i chciałaby trochę o nich pogawędzić.

OTRZYMAŁAM

„Dziewczę z krainy burz.“ Życzenie Pani postarałam się wypełnić jak najskrupulatniej i jak najprędzej. Czy, Droga Pani, zadowolona? Numery o które Pani prosi oczywiście postaramy się wkrótce wysłać.

Miło mi bardzo, że Pani zawsze o nas pamięta i żywi dla nas tyle przyjaznych uczuć. Śliczne Pani za to dziękuję! Pozdrowienia odwzajemniam i cieszę się z góry przyjemną perespektywą przyszłości.

ADRESY!

O dokładne adresy, celem przesłania listów są proszone następujące osoby: „Arabka“ — „Roztańczona — rozśpiewana Pomorzanka“ — „Rysia“ — „Mateusz“ — „Largo“ — „Te-Em“.

BARDZO CHĘTNIE!

„Różyczka z Lniana“. Fotografję zwrócę Pani w tych dniach — ucieszyłam się nią bardzo. List Pani ubawił mnie, gdyż doskonale wyobrażam sobie tych, co płoną z ciekawości, kto może być „Różyczką z Lniana“. Ale i ja jestem ciekawą, czy uda się Pani zachować do do końca swoje incognito.

Prośbę Pani spełniam jak najchętniej i przedrukowuję słowa, które poleciła mi Pani zamieścić.

„Hallo! Hallo! — pozdrowienie dla całej „Rodzinki“, a szczególnie dla „Marzenia“. Może „Marzenie“ skreśli wpierw parę słów do „Różyczki“? Czekam“.

POSŁUCHAJMY, CO PISZE „IGIEŁKA“

„Igiełka“. Z wszystkich Siostrzyczek w „Krainie“ najwięcej chyba będą się kochały „Igiełka“ i „Złota Niteczka“, bo przecież tam, gdzie igiełka, tam i niteczka i odwrotnie. Posłuchajmy jednak, co pisze „Igiełka“:

„Kochana Pani Zosiu! Myli się „Mały Trzpiot“ twierdząc, jakoby wszyscy już byli w „Krainie“ oprócz Niej, przecież mnie tam jeszcze brak!...

Abonentką „Moich Powieści“ jestem dopiero od pół roku i strasznie żałuję, że prędzej nie poznałam tego pięknego tygodnika.

Pierwszy raz zetknęłam się z nim u mej koleżanki na wsi i zaraz po przyjeździe do domu zaabonowałam go sobie, a teraz już nie mogę się za nim doczekać każdego piątku.

Interesuję się także „Krainą Szczerości“ i dzisiaj proszę o przyjęcie mnie do niej.

Jestem sobie taką zwyczajną dziewczynką, w dzień pracuję zawodowo, a wieczorami i w niedzielę urządzam sobie przechadzki rowerem — jest to moja najmilsza rozrywka. Niestety, lato już minęło, a z nim skończyły się i moje wycieczki. To też chciałabym zdobyć sobie nową rozrywkę na długie zimowe wieczory i jak tyle innych Czytelników prowadzić skimś interesującą korespondencję. Może znajdzie się wśród członków „Krainy“ ktoś chętny i do mnie pierwszy napisze. Odpowiedź murowana!“

A teraz, po przeczytaniu miłego listu „Igiełki“, nie zwlekajcie, Drodzy Sympatycy i napiszcie do tej miluchnej Panienki.

Teczka Wujka Janusza

JESIENNE ŁZY...

Minęło lato, przepyszne, bogate,
co czarem piękna napawało świat.
Strojna w swą smutną, powiewną szatę —
przyszła jesień — i uwiądł kwiat...

Wicher tak głucho zawodzi i płacze,
serce — jakiś bezbrzeżny żal ściska.
Do okna cicho jesień kołacze —
rzucając łzy na puste ścierniska.

Nade mną jesień się rozpłakała,
rozwiła wspomnień przezroczą mgłę.
Na grób serca, o którymś zapomniała —
i Ty rzuć choć jedną jesienną łzę.

„Giaur“.

DZIĘKUJĘ ZA PIĘKNY LIST

„Stella Maris“. „Idziemy wolno w kartofliskach — zupełna cisza — nie widać żadnego „stada“... pisze Pani o swoich wrażeniach podczas polowania, a opisuje to Pani tak plastycznie i miło, że mimowoli wyobrażam sobie Panią idącą wolno z strzelbą na ramieniu, czujną, wrażliwą na każdy odgłos, bacznie śledzącą teren (jak przystało na polowaniu) w towarzystwie wyżła wśród tych rozległych, monotonnych kartoflisk. Wrażenia te jak i obraz wytworzony w wyobraźni są dla mnie tem milsze, że sam nieraz doznawałem na polowaniach podobnych emocyj i sam nieraz włóczyłem się z fuzją na ramieniu po pustych polach w jesieni, a potem wracałem do domu pełen zadowolenia, nierzadko z łupem w torbię. Dzisiaj minęły już te czasy, zmieniły się bardzo. Dawno już nie brałem udziału w polowaniu, gdyż nie pozwalają mi na to różnego rodzaju zajęcia i uniemożliwiają mi dłuższy pobyt na wsi. Pocieszam się jednak, że kiedyś znowu nadejdzie chwila, gdy będę mógł się bawić w myśliwego.

Gorąco dziękuję Pani za ten ostatni, piękny liścik i przesyłam Jej zapewnienia mych uczuć szczerej przyjaźni, jakie dla Niej żywię.

Wierszyk — słaby, chociaż zakończenie bardzo ładne.

Na zakończenie spełniam prośbę Pani i ślę w Jej imieniu pozdrowienia dla „Willy'ego“ z prośbą o przesłanie „Stelli Maris“ choć maleńkiej perełki talentu.

BĘDĘ WYCZEKIWAŁ

„Wesoła Trutka“. Sprawiła mi Pani prawdziwą radość swoim miłym listem. Obecnie będę wyczekiwał, aż nie nadejdzie nowy list od „Wesołej Trutki“, a zwłaszcza cieszę się na zapowiedziane wierszyki. Dzisiaj kończę już i ściskam na pożegnanie rączki Pani.

W WIERSZACH ZA DUŻO EROTYZMU

„Pokutnik“. Lubię, gdy ktoś wytrwale dąży do swego celu i nie zraża się niepowodzeniami, to też list Pana z nowemi wierszykami powitałem z zadowoleniem. Tym razem wierszyki Pana są lepsze, więcej logiczne, jedynie brak w nich jeszcze miejscami rytmu i za dużo w nich erotyzmu. I tak: po przeczytaniu Pańskiego wierszyka: „Ach, gdybyś widział te oczy“... nawet najzaciętszy antyfeminista zainteresował by się pięknemi oczami kobiety, no a ostatnią zwrotką, nie ręczę, czy by Pan niejednego nie „roznamiętnił“.

Przy pisaniu więc następnych utworów, proszę, niech Pan da spokój erotycznym zapałom, a napisze coś spokojniejszego. Mieszka Pan zdaje się w lesie, a więc ma stałą styczność z przyrodą, o temat więc nie będzie trudno. Tylko niech Pan pamięta, że temat to mało! Niemniej drobiazgowo trzeba uważać także na rym i rytm... przy tym ostatnim zwłaszcza najwięcej... choćby przyszło liczyć sylaby na palcach. Bo wiersz musi mieć płynność, melodję i harmonję. Ciekawy jestem, czy już następne wiersze Pana pójdą do druku! Narazie zaś żegnam Pana silnym uściskiem dłoni.

NIE ŻAL MI...

Nie żal mi pieśni, które giną w głuszy,
Które w przestworzach wiatr gdzieś poroztrącał,
Lecz żal mi ofiar każdej ludzkiej duszy,
Która jest jako pieśń cicha i drżąca.

Nie żal mi życia mojego zarania,
Które tak cudne zdobiły nadzieje,
Żal mi, że troska radość dziś przysłania
I że się czasem przez łzy tylko śmieję.

Bo uniesiona młodości zapałem,
Pod wpływem blasku cudotwórczej tęczy,
Kochałam ludzi szczerze — sercem całem,
Że nikt by kochać nie umiał goręcej.

Tak zawsze bywa — poco myśleć o tem,
Poco znów duszę rozkrwawiać boleśnie?
Wszystko skończyło się za pierwszym
wzlotem
I życia trudy poznałam zbyt wcześnie.

Jadźka z Kujaw.

PRZECZYTAŁEM BARDZO UWAŻNIE

„Blondynek w mundurze“. Nadesłane utwory Pana przeczytałem bardzo uważnie. I... doszedłem do wniosku, że nie jest Pan przeznaczony na poetę. Zasadniczemi błędami w wierszach Pana: to kulawy rytm, szablon, a nawet chwilami niepoprawny styl. Wykluczonem więc jest, aby wiersze Pana można oddać do druku.

Listy, o które się Pan informuje, zostały wysłane. Pozdrowienia załączone dla: „Mamusinej Córusi“ — „Pensjonareczki“ — „Wymarzonej“ i „Halinki“ — przekazuję. Panu ślę dużo serdecznych pozdrowień, oraz zapewnienie, że dalsze listy Pana będą dla mnie miłemi dowodami pamięci i radością.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W. P. K. W. z Chojnic. Z nowelek i wierszy Szanownej Pani — nie skorzystamy. Słabe. Brak im zupełnie literackiego zacięcia. Łączymy serdeczne pozdrowienia.

„Hajot z Grudziądza.“ Prosimy Pana o dalsze nadesłanie zadań umysłowych do naszego kącika rozrywkowego. Pozostałe zamieścimy przy najbliższej sposobności. Roczniki „Moich Powieści“ może Pan nabyć w naszej administracji w cenie 9.00 zł. Za serdeczne słowa dziękujemy i również ślemy ich moc.

W. P. Iza L. z Gołębiewka. Z powodu zmiany układu graficznego „Moich Powieści“, gawędy Zawalidrogi nie będziemy narazie umieszczać. Przekazaliśmy jednak Zawalidrodze w imieniu Pani pozdrowienia, za które polecił serdecznie podziękować.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 60

„Dowiedziałaś się więc, Arabello, co się stało z twojego Edwardą" — zawołał Lister, zwracając się, jakby nagle przebudzony, do kobiety, która siedziała bez ruchu, wsparłszy głowę na rękach. „Z obiecującego, utalentowanego artysty, zrobił się nędznik i przestępca! Już dawno chciałem skończyć to życie, lecz myśl — jedyna tylko myśl: co się stało z mojem dzieckiem, wstrzymywała mię zawsze od tego kroku! Żyje, gdzie znajduje się? Powiedz, Arabello, co się stało z naszem dzieckiem, czekam niecierpliwie!"

Arabella, nazywająca się teraz panią Gautier, westchnęła ciężko i milcząc podniosła się z kanapy.

„Dlaczego ociągasz się!" zasyczał przez zęby Satanelli, ujmując ją za prawą rękę. „Znalazłem cię wreszcie podła kobieto, jako wróżkę, żyjącą z łatwowierności głupich ludzi, z oszustwa i fałszu. Lecz dla tego nie robię ci żadnych wyrzutów, gdyż sam nie jestem lepszy od ciebie. Jednak, chociażbyśmy sami byli ostatniego rodzaju wyrzutkami społeczeństwa, mimo to mieliśmy święty obowiązek wychować nasze dziecię, na niewinną i czystą dziewczynę. Ty jednak nie dopuściłaś do tego! Więc odpowiedz, gdzie znajduje się moja córka?"

„Znajdziesz ją tam", odparła Arabella tryumfującym głosem, „gdziebyś jej był nigdy nie zaprowadził. Ja wzniosłam ją, dałam jej szczęście, o jakiem nigdy nie marzyłeś. Dziecko nasze znajduje się na samym szczycie towarzystwa, została hrabiną, otoczona zbytkiem i bogactwem, miłością i szacunkiem!"

„Udowodnij twoje słowa, gdyż twojemu zapewnieniu nie mogę wierzyć! Powiedziałaś, że córka nasza jest hrabiną. Zgoda, lecz wymień mi jej nazwisko, a ja przekonam się, czy twoje twierdzenie zasługuje na wiarę."

Arabella namyślała się, skierowawszy wzrok ku ziemi.

Miała zdradzić tajemnicę Satanellemu i wyjawić mu, w jaki sposób jej córka dostała się do hrabiowskiego zamku? Miała odkryć swe karty przed Edwardem?

Czyniąc zadość jego życzeniu, czyż równocześnie nie była zmuszoną wyznać całą niewdzięczność Loli, — które to imię nadała piastunka jej córce i zwierzyć się przed nim ze swoimi zamiarami, by podłą kobietę strącić ze zajmowanego stanowiska, do którego jej sama niegdyś dopomogła.

Arabella w myśli potwierdziła pierwsze pytanie, drugie przeciwnie odrzuciła natychmiast.

Satanelli mógł wiedzieć, że jego córka została hrabiną Sokolską, to jednak powinno pozostać dla niego tajemnicą, że w ciągu trzech dni, nie będzie nią więcej.

„Namyślasz się", zawołał Satanelli, „widocznie nie znasz twego położenia. Nie masz co się namyślać! Albo wymienisz mi nazwisko hrabiego, przy boku którego żyje moja córka, albo zemszczę się na tobie w okrutny sposób."

„Nie boję się ciebie, ani twojej zemsty?" odparła twardo Arabella, „i nie zapominaj, że oszustwo, które popełniłam na tobie we Włoszech, jest już zadawnione. Pomijając to jednak, ty brałeś także udział w kradzieży; a więc kara spadłaby i na ciebie. Sądzisz może, że obawiam się zostać zaaresztowaną jako wróżka? — Ha, ha, — spróbuj. Pamiętaj jednak, że we więzieniu będę opowiadać o pewnym Listerze, który właściwie nazywa się Edwardem Satanellim. Prawdopodobnie sędziowie będą się bardziej interesować twoimi losami, aniżeli moją osobą."

Satanelli podniósł pięść, jakby chciał się rzucić na kobietę. W następnej jednak chwili opanował się i przemówił:

„Jeszcze raz powtarzam, widocznie nie zdajesz sobie sprawy z twojego położenia! Pytasz się, jaką będzie moja zemsta? Całkiem zwykła — z pewnością nie będę się ociągał wykonać tego, czem od siedemnastu lat groziłem ci ciągle. Nikt nie zdoła stanąć mi na przeszkodzie, bym cię nie zamordował lub nie powiesił w tym pokoju, byś tak skończyła, jak mój biedny nieszczęśliwy ojciec! Jeżeli cię dziś lub jutro znajdą nieżywą, któż będzie podejrzywał, że to uczynił Lister, słynny detektyw? Ja nie potrzebuję się obawiać, ty jednak zostaniesz ukaraną!"

Zimny dreszcz przebiegł ciało Arabelli. Lister wyglądał na takiego, który był gotów spełnić każdej chwili swoje groźby.

Musiała więc wyjawić swoją tajemnicę i powiedzieć mu, gdzie się znajduje jego dziecko.

„Wiem dobrze", odparła cichym głosem, „że znajduję się w twojej mocy i w twoich rękach. Przyrzekłeś mi jednak zaniechać zemsty. Więc słuchaj: ta, której nigdy nie znałeś, twoja córka, którą podobno kochasz —"

„Którą rzeczywiście kocham!" zawołał Satanelli, a jego zimne zwykle oblicze i ostre rysy przybrały nagle wyraz czułości i ciepła, „i którą zawsze będę kochać. O mojej córce śniłem dniem i nocą i często, gdy chciałem zakończyć to podłe życie, by nie grać dłużej tej wstrętnej komedji, wspomniałem o niej i tylko ta jedyna myśl, że ją kiedyś uścisnę, może powstrzymywała mię od kroku samobójczego."

„Nasza mała", ciągnęła dalej szeptem Arabella, „wyrosła na cudowną piękność, stokroć powabniejszą ode mnie."

„Wygląda więc jak Milońska Wenera!" odparł detektyw ledwie dosłyszalnym głosem, który jednak odbił się zupełnie wyraźnie o uszy Arabelli. Dumny uśmiech zadowolenia okrasił jej usta.

„Rzeczywiście jest piękną jak Wenera", mówiła dalej Arabella, „lecz piękność nie wystarcza kobiecie do zajęcia wysokiego stanowiska w życiu. Przeciwnie sama piękność stanowi często tylko ciągłe niebezpieczeństwo dla młodej dziewczyny, i nie raz staje się przyczyną jej upadku i ruiny. Wdzięk musi iść w parze z roztropnością, a roztropność z darem obserwacji. Tak, córka nasza była śliczną, a ja byłam za nią roztropną i uważną! Chciałam stworzyć mojej córce świetną karjerę, dać jej wszystko, co tylko świat posiada najlepszego, i tak wprowadziłam ją w rodzinę hrabiowską, która przed laty straciła swoją jedyną córeczkę. Przypadek dał mi w ręce potrzebne dokumenty i papiery. Oddałam je córce naszej, Beatryczy, skutkiem czego hrabia uznał ją za własną córkę!"

„A więc Beatrycza osiągła szczęście zapomocą występku!" szepłał Satanelli. I natychmiast, jakby pod wpływem budzącego się podejrzenia, dodał:

„Jak nazywa się ten hrabia, który zaadoptował naszą córkę?"

Arabella wahała się najpierw, po chwili zawołała jednak:

„Nasza córka, która przyszła na świat we Weronie, jest prawowitą córką, jedynem dzieckiem i spadkobierczynią hrabiego Sokolskiego, a żoną hrabiego Kazimierza Zamskiego. Na imię jej Lola. Tak nazwała ją w pierwszych latach piastunka naszego dziecka."

Satanelli wydał głuchy okrzyk, zatoczył się, twarz jego skurczyła się, jakby pod wpływem drgawek i w następnej chwili upadł na krzesło.

Takie więc było rozwiązanie zagadki, dlatego czuł taki dziwny pociąg ku Loli, dlatego od pierwszego poznania czuł jej wpływ na sobie i został jej obrońcą. Nie kobieta, nie pociąg zmysłowy pchał go w stronę Loli, lecz tylko pokrewieństwo krwi, które w tym wypadku okazało się w swojej całej potędze — budząc jego uczucia ojcowskie.

Satanelli wzdrygnął się jednak na myśl, że często pragnął posiąść tą piękną kobietę jako kochankę.

Ze strachem wspomniał sobie, że Lolę chciał opłatać swoją sztuką uwodzenia, która mu już nie jedną kobietę rzuciła w objęcia. Boże, do czego byłoby to doprowadziło!

Oprócz tych myśli, inna okoliczność niepokoiła głównie detektywa, który siedział ciągle nieruchomo na stołku.

Jeżeli Lola Zamska była jego córką, o czem nie wątpił, gdyż wewnętrzny głos szeptał mu, że wyznanie Arabelli jest prawdziwe; więc groziło jej straszne niebezpieczeństwo i to ze strony tej, która powinna być jej naturalną ochroną. Czyż nie słyszał na własne uszy, że wróżka zobowiązała się w przeciągu trzech dni przedłożyć Kazimierzowi dowody zdrady jego żony?!

Nie mógł się mylić, że Arabella, z niewiadomej mu dotychczas przyczyny, nienawidziła całem sercem Loli, pragnąc jej zguby.

„Widzisz więc", mówiła tryumfująco Arabella, która bezwładność i zniecierpliwienie Satanellego wzięła za skutek radosnej nowiny, „że troszczyłam się o nasze dziecko. Ty sam nie byłbyś stworzył jej lepszej karjery. Gdyby była została przy tobie, może byłaby obecnie narzeczoną bandyty i żoną



Nadeszła jesień, a z nią raj dla myśliwych — pora polowań na kuropatwy. Oto uczestnicy polowania oczekujący pełni emocji na łup.

abruzkiego rozbójnika, albo poślubiłaby w Anglji jakiegoś zręcznego złodzieja kieszonkowego, a już w najlepszym wypadku zostałaby żoną czcigodnego mieszczucha. Ja zaś ozdobiłam głowę naszej córki koroną hrabiowską. Zapewne znasz arystokrację polską tak dobrze, jak francuską, więc z łatwością możesz się dowiedzieć, że Zamscy należą do jednego z najbogatszych staroszlacheckich rodów Polski."

Zaledwie Arabella wymówiła te słowa, gdy Satanelli zerwał się, ujął ją za obie ręce i przemocą przewalił ją na podłogę.

„Co czynisz?" — jękła piękna, czerwonowłosa kobieta. „Dlaczego zmuszasz mię, bym uklękła na kolanach?"

„Chcę cię zamordować!" — zawołał strasznym głosem Satanelli, „słyszysz, zabiję cię i to nie za przeszłość, lecz by zapobiec nowemu nieszczęściu, które jest równie straszne, jak to, którego się dopuściłaś w twojej młodości."

Arabella była pewną, że Satanelli postradał nagle zmysły.

O jakiej to mówił zbrodni, w jakim występku chciał jej przeszkodzić?

„Puść mię" — krzyknęła Arabella, próbując wydrzeć się z rąk męża, „nie męcz mię, ja nie znoszę przymusu, zwarjowałeś, nie rozumiem, o czem mówisz."

„Tem lepiej pojmuję ciebie!" — przemówił Satanelli, topiąc swój szary, przenikliwy wzrok w jej oczach, które w tej chwili złowrogo płonęły, „tak, rozumiem cię, odgadłem twoje myśli, czytając w głębi twojej duszy. Może chcesz zaprzeczyć, przeklęta kobieto, że najdalej przed godziną postanowiłaś zgubę twojej córki? Podła matko, więc chcesz zniszczyć szczęście własnego dziecka! Czyż nie zobowiązałaś się w przeciągu trzech dni dostarczyć hrabiemu Zamskiemu dowodów stwierdzających winę Loli?"

Ochrypły głos wydarł się z krtani czarującej kobiety. Czytał ten człowiek rzeczywiście w jej duszy? — A może posiadał właśnie ten dar, którym się sama chwaliła wobec łatwowiernej publiczności Paryża, ten drugi wzrok, którym widział wszystko, co właściwie powinno zostać ukryte?

Nie, nagle przejrzała, jedna myśl, jak błyskawica przedarła się przez jej mózg, i wreszcie pojęła wszystko, wszystko.

Satanelli był w kabinie, podczas gdy rozmawiała z Kazimierzem Zamskim. Jej mąż podsłuchiwał bezwątpienia i słyszał jej całą rozmowę z mężem Loli.

W takim razie znał nietylko jej wszystkie tajemnice, które miały związek z Lolą, lecz prawdopodobnie widział także, jak pokazała Kazimierzowi obraz Anielci.

Ten straszny człowiek znał więc jej najskrytsze myśli. Wprawdzie znała Satanellego jako takiego, który niegdyś ulegał jej we wszystkiem, lecz była pewną, że detektyw Edwin Lister wykorzysta jej tajemnicę! Wszystko zdawało się jej być stracone, ze strachu i przerażenia nie mogła wydobyć ze siebie ani słowa.

Nagle pochwycił ją Satanelli i przyciągnął ku sobie. Na policzkach czuła jego gorący oddech i pod wpływem tego szarego wzroku traciła przytomność.

„Słuchaj" — mówił nieludzkim głosem, podczas gdy cała jego postać przybrała wyraz okrutnej dzikości, „słuchaj i zapamiętaj sobie dobrze moje słowa. Nie wiem, dlaczego zaprzysięgłaś zemstę Loli i dlaczego prześladujesz ją swoim gniewem; lecz domyślam się. Prawdopodobnie nie chce nic wiedzieć o swojej matce, osiągnąwszy szczęśliwie pewną przystań życia! Może nie wypłaciła ci nagrody za to, żeś jej dopomogła do korony hrabiowskiej. Może wchodzi tu w grę jakiś mężczyzna. Gdyż kobieta nienawidzi zwykle tylko wtedy drugą, jeżeli rozchodzi się właśnie o niego. Nie znam przyczyny, dlaczego chcesz zburzyć szczęście własnego dziecka, — ja jednak, Edward Satanelli, twój mąż, którego już raz uczyniłaś najnieszczęśliwszym z ludzi, któremu wydarłaś ojca, rozkazuję ci, byś pozostawiła w spokoju moją córkę. Nie waż się dotknąć jej ręką, nie zabrudź jej przeklętą trucizną twej zepsutej duszy. Biada ci, po trzykroć biada, kobieto, jeżeli uczynisz przykrość Loli.

„Jeżeli zamącisz to szczęście, którego doznaje przy boku swojego męża, jeżeli zatrujesz jej choćby jedną tylko godzinę, wtedy jesteś zgubioną, wtedy nie minie cię zasłużona kara, która ci się już dawno należy. Wówczas Lister, Edward Satanelli, bandyta, łotr, oszust, szubrawiec — stanie się twoim mordercą!"

Gwałtownym ruchem wydarła mu się Arabella, jej postać wyprostowała się, a oczy zabłysły niezłomnem postanowieniem. Wszystko zniosła cierpliwie, zarzuty, oskarżenia, straszne wspomnienia minionej przeszłości, lecz teraz, gdy chciał stanąć między nią a Lolą, zabraniając pomścić się na niewdzięcznej, zapłonęły jej oczy, a w piersi poczuła siłę, zdolną do każdej walki.

Małżonkowie, którzy przed laty upajali się słodkiemi pieszczotami, stali obecnie naprzeciwko siebie, mierząc się wzajemnie wzrokiem, pełnym nienawiści i śmiertelnej nieprzyjaźni.

„Więc wiedz", zawołała Arabella, a głos jej drżał całą skalą namiętności, „podniosłam nasze dziecko, które obecnie poniżę! Wyciągnęłam je z bagna i zrobiłam hrabiną, królowę walców z pod „Zielonej papugi" — lecz wkrótce zanurzy się w błocie za swoją niewdzięczność. Młody wilk jest wdzięczny względem wilczycy, która go zębami wciągnęła do bezpiecznej pieczary, wdzięczniejszy jest krokodyl, gdy krzyk samicy ostrzegł go w samej porze przed zbliżającym się strzelcem, tak, że mógł zanurzyć się w wodzie. Lwica może się spodziewać wdzięczności od swego potomstwa, które uratowała przed kłami lwa, tylko dziecko, zrodzone z własnej krwi, nie czuje posłuszeństwa ani wdzięczności dla własnej matki. Lola wydaliła mię z domu, w który ją wprowadziłam, i za to musi zostać ukaraną! Tak, patrz tylko na mnie, groź mi, próbuj mię zastraszyć. I gdybyś w tej chwili przyłożył mi do piersi ostrze sztyletu, mimo to muszę w ciągu trzech dni strącić Lolę Sokolską ze zajmowanego stanowiska. Wtedy możesz ją zabrać ze sobą! A teraz precz, precz z mojego domu, nie poważ dotknąć się mnie, obawiaj się mnie, Listerze-Satanelli! Jeżeli podniesiesz na mnie twoją rękę, to pokażę światu Edwarda Satanellego, tego Satanellego, którego szukają w Rzymie jako podpalacza. Precz, powtarzam, a nie to zawołam na służbę."

Równocześnie przyłożyła Arabella rękę na ukryty dzwonek.

Satanelli zatoczył się i zwrócił ku drzwiom. Twarz jego przybrała zielonawy kolor, oczy wyszły mu na wierzch i zdawały się przemieniać we dwa sztylety, chcące utopić się w marmurowej piersi hardej kobiety.

„Odchodzę", szepnął z wściekłością, „tak, opuszczam ten dom, gdyż moja

bytność tutaj nie ma żadnego celu. — Uważaj mię jednak od tej chwili za twego wroga, który wszędzie będzie czyhać na ciebie. Rozpoczynamy więc śmiertelną walkę na noże", ciągnął dalej detektyw drżącym z namiętności głosem, „ty walczysz przeciw Loli, ja za nią! Ty chcesz zgubić twoje dziecko, ja jednak muszę je wyratować! Arabello, piękno rybaczko z Werony, opłacona ajentko i złodziejko dokumentów, zobaczymy, kto z nas będzie silniejszy. Rozpocznie się walka tygrysa z lwicą. Ja — będę miał przynajmniej w tych zapasach to przekonanie, że walczę o szczęście mego dziecka, i pod tym znakiem muszę zwyciężyć."

Satanelli trzasnął drzwiami i zniknął. Arabella stała przez chwilę nieruchoma, jak posąg wykuty z marmuru, blada, lecz później szatański uśmiech pojawił się na jej twarzy, a z ust wydobył się głos podobny do uderzenia młota:

„Tak, walka na noże! Pragniesz jej, Satanelli, więc dobrze! Ja będę lwicą, ty tygrysem! Czuję, że popłynie krew w tej walce. Lecz gdybym miała nawet zginąć, to z moim upadkiem pociągnę tę niewdzięczną, która dzisiaj nazywa się hrabiną Sokolską. Za trzy dni zedrę maskę z twarzy tej oszustki!"

XC.

Tajemnicza klientka

Kazimierz, opuściwszy dom wróżki, drżał na całem ciele ze wzruszenia, którego doznał u pani Gautier. Idąc przez ulice, skąpane tysiącami świateł, zataczał się jak pijany. Za parę minut poprawił się wprawdzie jego ogólny stan, tem gorzej jednak wyglądało na dnie jego duszy. Wszystko, co przeżył w ostatniej godzinie, co słyszał i widział, wracało mu nagle przed oczy, wszystko to jeszcze raz wspominał sobie.

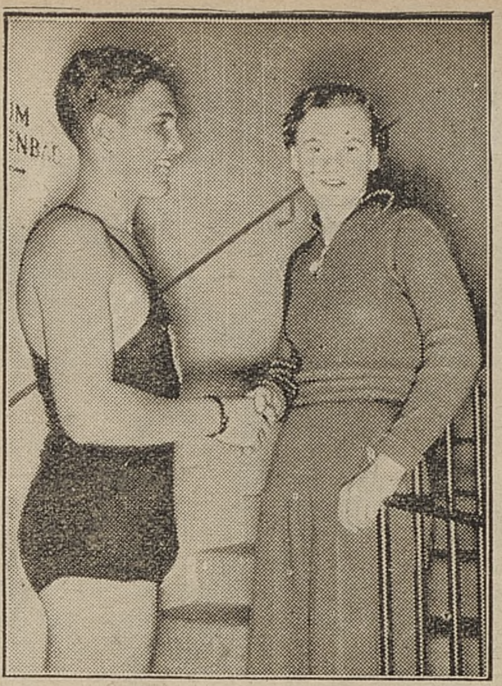
Kazimierz, gdzie tylko szedł, wszędzie widział postać Anielci, taką samą, jaką ujrzał w czarodziejskim obrazie wróżki, Anielcia wydała mu się tak piękną, wdzięczną, miłą i porywającą! Kazimierz nie chciał wierzyć, że to był tylko obraz, gdyż widział wyraźnie Anielcię stojącą przed nim!

Jej oblicze było tylko trochę poważniejsze i więcej zamyślone. Zamiast wesołego, lekkiego uśmiechu, który zdobił wargi tej pięknej nimfy, zobaczył teraz w tych drogich rysach jakiś wyraz głębokiego smutku.

„Był to rzeczywiście tylko obraz"? pytał się Kazimierz. „Będąc jednak tylko cieniem, jakżeż mógłby się poruszać? Widział przecie, jak wznosiła głowę, załamywała ręce, opuszczając je na swe dziewicze piersi? — Z pewnością nie myliłem się, jej usta także się poruszały, — i moje imię drżało na nich. — Był to tylko szczęśliwy przypadek, sztuka wróżbiarki?"

Im dłużej Kazimierz myślał, tem trudniej było mu znaleźć odpowiedź. Jego myśli skierowały się powoli w inną stronę.

Przypomniał sobie straszne oskarżenie, które pani Gautier rzuciła na Lolę. Z jaką pewnością twierdziła ta kobieta, że Lola jest niewierną i godną pogardy!



Mistrzem świata w pływaniu na 100 metrów na plecach został Niemiec Kiefer. Na zdjęciu naszem chwila gratulacji, składanej przez niemiecką mistrzynię w pływaniu Gizelę Arendt.

Czyż nie nazwała jej wróżka nawet oszustką, okazując gotowość dostarczenia za trzy dni dowodów na swoje twierdzenia?

A do tego jeszcze detektyw Lister, — ten znowu twierdzi, że Gautier jest zbrodniarką, której wierzyć nie można.

Jak liść osiki pod wpływem wiatru słania się to na tę, to na ową stronę, tak Kazimierzem miotały nieustannie wątpliwości.

Raz dawał wiarę wróżce, — za chwilę zaś był przekonany, że Lister ma słuszność. Z tego chaosu pomieszanych wyobrażeń wyłaniała się jedna pewność którą silnie odczuwał: była to gorąca tęsknota posiadania Anielci, nanowo roz dmuchana w chwili, kiedy ją znowu obaczył.

Myśląc tak o tem i o owem, sam nie wiedział, jak się nagle znalazł na jednym z bulwarów. Przy oświetleniu latarń i olbrzymich kandelabrów przewalała się olbrzymia fala ludzi, — wystawy wielkich magazynów tonęły w płonącem świetle, — tłum ciekawych oblegał je.

„Kazimierzu, to ty?" zbudził sennie zadumanego znany mu głos; „cóż ty tu porabiasz? Byłem pewny, żeś w tej chwili w domu, koło swojej żony".

Był to hrabia Zygmunt, który w ten sposób z uśmiechem na ustach swego zięcia witał.

Mimowoli strach zdjął Kazimierza, gdy poznał swego teścia, — doznawał uczucia, jakby został przyłapany na gorącym uczynku.

„Wieczór dziś tak piękny, — wyszedłem trochę na spacer".

„Szczęśliwy traf", ciągnął hrabia Zygmunt, biorąc zięcia pod ramię, — „dobrze się stało, że cię spotkałem. Musisz mi, przy twoim wybrednym smaku, posłużyć radą. Mam zamiar bowiem właśnie, kupić prezent dla twojej żony"

„Dla Loli?"

„Nie inaczej, — zapomniałeś, jak wi dzę, że za tydzień jest rocznica waszego ślubu. Chciałbym Loli sprawić małą uciechę, czego i ty uczynić nie zaniechasz".

„Nie inaczej", odparł Kazimierz, chociaż w duchu przyznać sobie musiał, że mu wspomnienie o tym dniu ani przez myśl nawet nie przeszło.

„Myślałem długo nad tem", ciągnął hrabia Zygmunt dalej, „czembym mógł ją uradować. Wybór nie łatwy. Posiada przecież wszystko, czego tylko młoda mężatka życzyć sobie może. Zdecydowałem się w końcu na piękny garnitur z brylantów, — naramiennik lub coś podobnego. Jużto drogimi kamieniami najłatwiej trafić do gustu kobiet".

„Więc teraz prowadzi cię droga do jubilera?"

„Tak, — a ty będziesz tak dobry, jeżeli masz ochotę, pójdziesz zemną i pomożesz mi wybrać. Tuż nieopodal w bocznej ulicy jest jeden magazyn jubilerski, który wspaniale jest wyposażony".

Za kilka minut wstąpili obydwaj do sklepu. Oblicze siwowłosego właściciela sklepu rozpromieniło się na widok przybyszów, których strój, wygląd i postawa kazały się spodziewać niepoślednego zarobku.

„Chciałbym kupić u pana coś z drogich kamieni", rzekł hrabia Zygmunt siadając na podane mu skwapliwie przez kupca krzesło, „może elegancki naramiennik, lub coś w tym guście. Cena mi obojętna".

Jubiler pomyślał trochę, poczem rzekł:

„Mógłbym służyć znakomitym egzemplarzem, który co prawda, ma dziś już niemodną oprawę. Waham się jednak czy ją przerobić, gdyż często zdarzają się lubownicy antyków, którym cena za tego rodzaju starożytności nie jest za wysoka. Jestem przekonany, że ten naramiennik pochodzi ze skarbca klejnotów jakiegoś bardzo znamienitego domu. Nie mówiąc o oprawie, same kamienie reprezentują wysoką wartość".

Mówiąc to, przystąpił do szafy i otworzył ciężkie jej drzwi.

W szafie otwartej ujrzeli obydwaj hrabiowie zwierciadło.

„Jaki cel tego lustra?" zapytał hrabia Sokolski.

Jubiler uśmiechnął się.

„Nie dla takich gości, jak panowie. Tu w Paryżu nigdy nie można być dość ostrożnym. Jesteśmy, my jubilerzy zwłaszcza, każdej chwili narażeni na napad hołoty, która nawet w przyzwoitem ubraniu niepokoi nas. Gdy otworzę szafę, jestem zmuszony odwrócić się od gościa. Ta jedna chwila wystarczy opryszkowi, by rzucił się do któ rej z oszklonych szaf, stłuc jednym rozmachem szybę i porwał garść klejnotów. To lustro więc pozwala mi obserwować każdy najmniejszy ruch, a w danym razie robię użytek z rewolweru, który zawsze noszę przy sobie".

„Czy rzeczywiście jest w Paryżu tyle złodziei i rabusiów?" pytał zaciekawiony hrabia Zygmunt.

„O, więcej, jak pan przypuszcza! Teraz właśnie musimy się liczyć z herszem włamywaczy, który w czasie transportu do Niemiec zdołał wyrwać

się z rąk policji. Alfred Robber — zwie się to indywiduum!“

Kazimierz wzdrygnął się mimowoli, usłyszawszy to nazwisko.

Zygmunt ujął go za rękę, jakby go chciał uspokoić, że nie ma powodu bać się więcej tego człowieka.

„Ja myślę,“ rzekł z pozornym spokojem hrabia Zygmunt, „że namyśli się, zanim do Paryża wróci, — poznanoby go natychmiast i nanowo pojmano“.

„Takby sądzić należało“, odparł kupiec, „a jednak chodzą słuchy, które formę pewności przybierają, że go tu już znowu widziano. Mam stosunki z policją, — wiem to więc z pewnego źródła. Przeszukano już nawet wszystkie spelunki i podejrzane lokale, dotychczas jednak ani śladu jego nie znaleziono. Zagadka to rzeczywiście wielka, gdzie on się ukrywa“.

W czasie rozmowy tej otworzył schowek jeden w szafie, wyjął z niego puzderko i położył je na mały stoliczek obok krzesła, na którym hrabia Zygmunt siedział.

„Oto, proszę panów, ów naramiennik, o którym mówiłem. Nie wątpię, że panowie się znają na drogich kamieniach“.

„Jestem hrabia Sokolski i posiadam również cenną skarbnicę familijnych klejnotów, — ten pan, hrabia Zamski, jest moim zięciem“.

„Zaszczyt mi sprawia, widzieć panów hrabiów u siebie“, rzekł, składając głęboki ukłon jubiler, „pozwoli pan hrabia, że Mu pokażę naramiennik“.

oPd pociśnięciem sprężyny otwarło się puzderko, — całe morze światła zabłysło przed oczami kupujących. Dwanaście brylantów najczystszej wody, a wszystkie nadzwyczajnej wielkości.

„Ach, — to cudowne“, — zawołał Kazimierz, „iście ozdoba dla królowej jakiej“.

„Nieprawdaż“, rzekł z widocznem, na twarzy malującem się zadowoleniem jubiler, „piękniejszego klejnotu w rękach jeszcze nie miałem“.

Hrabia Zygmunt siedział tymczasem jak skamieniały, — dziwna zmiana zaszła w rysach jego twarzy, — patrzał osłupiałym niemal wzrokiem na naramiennik, jakby czegoś podobnego jeszcze w życiu nie widział, — wzrokiem zdziwienia, które zwolna przechodziło jakby w przerażenie.

„Rzeczywiście przedziwnie piękna robota“, wycedził w końcu. „Pozwoli pan, że wyjmę klejnot z puzderka, by mu się bliżej przypatrzeć?“

„Proszę bardzo, panie hrabio!“

Drżącą ręką wyjął hrabia Zygmunt naramiennik i zbliżył go do lampy. Kazimierza, stojącego obok, uderzyła nadzwyczajna bladość twarzy teścia.

Długo, bardzo długo nawet spoglądał hrabia Zygmunt na ten klejnot. Zdawało się, jakby wzroku od niego oderwać nie był w stanie. Obracał go na wszystkie strony, wpatrywał się w każdy brylant z osobna. Niezwykła oprawa wskazywała, że była to robota z przed stu laty może.

Teraz podniósł się i zaglądnął do środka — w tej chwili zachwiał się i byłby niechybnie runął na ziemię, gdyby Kazimierz i jubiler skoczywszy na pomoc, nie byli go podchwycili i wsparli.

„Boże święty, co ci jest, ojcze?“ zapytał zatrwożony Kazimierz, „źle ci jest? Od kilku minut widzę zmianę w tobie.“

„To nic“, odparł z wysiłkiem Zygmunt, — „nic mi nie jest! Głowa zakręciła mi się, — zdawało mi się, że mi się podłoga z pod nóg usuwa. Mój drogi, zrobisz mi przysługę?“

„Ależ proszę cię, rozkazuj tylko, ojcze!“

„Bądź tak dobry i wstąp do apteki koło gmachu Wielkiej opery, tam można dostać proszków burzących, które mi w takich razach zawsze dobrze robiły“.

„W tej chwili, — spieszę“, rzekł młody hrabia, obrzucając troskliwem spojrzeniem Zygmunta; chwycił za kapelusz i wydalił się spiesznie ze sklepu.

„Czy pan hrabia miewa często takie napady?“ pytał jubiler.

„Nie, — już mi dobrze, — to chwilowa niedyspozycja. Wysłałem zięcia pod pretekstem tylko, by móc z panem w cztery oczy, sam na sam, pomówić.

Jubiler zdziwiony odstąpił kilka kroków. Ton, w którym hrabia Zygmunt ostatnie wypowiedział słowa, był dziwnie ostry i rażąco odmienny od sposobu, w jakim przedtem do niego przemawiał.

„Panie hrabio, nie rozumiem“, zawołał jubiler, „miałżebym panu w czemkolwiek uwłaszczyć?“

„Pokaże się dopiero, mój panie“, odparł hrabia Zygmunt; na każdy sposób spodziewam się, że będziesz teraz otwarcie uczciwym człowiekiem.“

„I nim też jestem, panie hrabio!“

„Ale kradzione towary masz pan na składzie!“

„Panie hrabio, — to jest obraza, której jako uczciwy kupiec ścierpieć nie mogę. Proszę o dowody na to, co pan powiedział“.

„Dowód w moich rękach“, rzekł dobitnie hrabia, podnosząc naramiennik w górę, „ten klejnot, który mi pan sprzedać chciałeś, jest — skradziony!“

„Skradziony, panie hrabio? Toby było okropne! Ale nie, — to nie może być, — ja w to nie wierzę!“

„W jaki sposób przyszedłeś pan w jego posiadanie?“ badał hrabia.

Jubiler pobladł jak ściana, — na chwilę osłabł tak, że musiał usiąść na krześle.

„Jeżeli naramiennik pochodzi z kradzieży“, rzekł „w takim razie jestem zrujnowany! Bo od tej samej osoby, od której ten klejnot kupiłem, nabyłem jeszcze więcej drogich kamieni. Jeżeli ten nieprawomocnie nabyty, w takim razie i inne pochodzą także z kradzieży“.

„Od kogoż pan to masz;“

„Pan hrabia pozwoli minutkę, bym przyszedł do siebie“, jęknął jubiler, „otwarcie i szczerze, pod słowem honoru opowiem wszystko“.

Zygmunt zaczął patrzeć innym wzrokiem, — nie tak surowo, — na kupca. Całe jego zachowanie się nosiło na sobie piętno prawdy, — w jego rozpaczy, malującej się na twarzy przebijała się widocznie niewinność.

„Będzie temu mniej więcej ze trzy lub cztery tygodnie“, począł drżącym głosem kupiec, „stoję, — a miało się już ku wieczorowi, — sam jeden w sklepie, — gdy drzwi się otwarły i bardzo elegancka weszła dama.

„Twarz była przysłonięta welonem tak, że rysów jej twarzy rozpoznać nie mogłem. Na pytanie moje, czem jej służyć mogę, odpowiedziała głosem, w którym przezwyciężenie i trwogę wyczytać nie trudno było: nie kupować, ale sprzedać chciałabym coś panu. Wyjęła puzderko. W tem puzderku był ten oto klejnot, który pan hrabia trzymasz w ręku“.

„Dama, — powiadasz pan, — elegancko ubrana dama? — jakiego wzrostu?“

„Szczupła i dość słuszna“.

„A włosy, — barwa jej włosów?“

„Ciemne, — bujne, jedwabne, rzadkiej piękności“.

Zygmunt przysłonił na chwilę ręką oczy. Następnie wstrząsnął gwałtownie głową, jakby chciał jakąś myśl, gwałtownie do jego mózgu kołatającą, od siebie odpędzić.

„I pan odkupiłeś od tej damy ten naramiennik?“

„Tak jest, panie hrabio. Po chwili rozwagi nabyłem go. Dama opowiadała mi, że należy do wysokich sfer towarzystwa, gwałtownie potrzebuje pieniędzy na pokrycie długu, o którym jej mąż nic nie wie. Nie wydało mi się to czemś nadzwyczajnem. W Paryżu zdarza się to bardzo często! W niejednym i to bardzo bogatym nawet domu przekracza nieraz żona budżet na kosztowne toalety.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Uzupełnianka „miernicza“
uł. Irena Wiechujówna.

— o X — e —
m X — a
— a X
— i X — s — a
X e t —
s — — X ń
— X o — a
m — k X — n

W miejsce kresek i krzyżyków wpisać osiem miar długości w ten sposób, aby litery na miejscu krzyżyków dały jeszcze jedną nazwę miary długości.

Zagadka
(nadesłała I. W.)

Przez d — wszak wielka to pani,
„ l — materjał nie tani,
„ f — to opinja przecie,
„ t — przy wielkiej jest rzece,
„ g — muzycy ją znają,
„ j — dół tak nazywają,
„ m — kocha ją ma córa,
„ ch — wielkiego masz gbura.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 8 listopada br.

Rozwiazanie zadań z nr. 42 „Moich Powieści“ Uzupełnianka: 1) Narkotyk; 2) Anagram; 3) Dynamit; 4) Bernard; 5) Alumnat; 6) Anilina. Przekładanka literowa: Na bzrybiu i rak rybą.

Trafne rozwiązania nadesłali pp: Marja Ermanówna — Białystok: Hilda Graczyńska — Białystok: Kazimierz Danielewicz — Częstochowa; Marjan Nowak — Nieśwież; Izabela Parczyńska — Kraków; Zofia Malaszyńska — Gdynia; Wincenty Górkowski — Gniezno; Andrzej Machałowicz — Grabowo; Wiktor Jankowski — Zacharzew.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp: Zofii Malaszyńskiej z Gdyni i Andrzejowi Machałowiczowi z Grabowa.

H-U-M-O-R



A to spryciarz!

Kierowca samochodu do przechodnia:
— Dlaczego zatrzymaliście mój samochód?...

— Bo się bałem, że popryska mi spodnie!!!

Muzykalny dom

Kac spotyka na ulicy Kotka.
— Dlaczego pan wczoraj nie był u Mayerów!... Było bardzo wielu gości...
— Nie chodzę do Mayerów.
— Dlaczego?...
— Bo tam na każdą kanapkę wypadają trzy sonaty fortepianowe i jedna arja...

Wśród studentów

— Pisałem do domu, aby mi przysłali pieniądze na łaciński słownik...
— No i co?
— Przysłali mi słownik...

Nieporozumienie

W pewnem biurze pokłóciło się dwóch urzędników.
— Osioł z pana!
— Pokaż mi pan większego osła od siebie!
— Panowie zdawają się zapominać, że ja tu jestem między wami — przerwał im w tej chwili wchodzący naczelnik.

Załatwienie sprawy

W nocnym lokalu pokłóciło się dwóch panów. Skończyło się na tem, że Kac nazwał Kotka „łobuzem, draniem i idjotą."
Kotek poprosił Kaca do drugiego pokoju.
— Panie Kac, uprzedzam pana, że pan mnie obraził wobec świadków!
— Tak jest... — przyznaje się Kac. — Mogę panu dać zadośćuczynienie...
— No, to dobrze... Dawaj pan, ale gotówką na stół!

Przytomność słynnego tenora

Słynny tenor Caruso stawiał pierwsze kroki na scenie jednej z małych oper prowincjonalnych. Gdy po długich staraniach został wreszcie zaangażowany, podszedł doń tenor i rzekł drwiącym głosem:
— Bardzo mi miło powitać kolegę, ale mówiąc szczerze, drugi tenor jest nam zupełnie nie potrzebny...
— Wiem — odparł Caruso — ale pierwszy...

Nawet ortografja po kupiecku

Szef do swego buchaltera - korespondenta:
— Panie Mayer, niech pan nie żałuje przecinków, szczególnie, gdy pan pisze listy do lepszej klienteli...

Złośliwa krytyka

Ona (na wystawie obrazów): — Ależ jak można podobny obraz wywiesić?
On: — Prawdopodobnie dlatego, że malarza powiesić nie wolno.

Zagadki

— Małżeństwa dzisiejsze są dla mnie często zagadką.
— Tak, i dlatego je się często rozwiązuje.

Teren dla lekarza

Młody lekarz, zamierzając przenieść się na stałe do Krowiej Wólki, przeprowadza wstępną konferencję z mieszkającym tam już oddawna doktorem.
— Więc czy kolega radzi mi przenieść się tutaj?...
— O, tak... — odpowiada starszy lekarz. — Polecam koledze tę miejscowość, która posiada rzeczywiście cudownie niezdrowy klimat!...

Literatura

— Po dwudziestu latach pracy — mówi znany powieściopisarz — przekonałem się, że moje pióro jest nic nie warte.
— I przestał pan pisać?
— Nie mogłem. Byłem już za bardzo sławnym.

Nieuczciwa gra.

Czterech znajomych z baru panów zasiada przy stoliku do gry w karty. Gra idzie w tysiąc. Panowie rozgrzani alkoholem licytują zawzięcie. Wreszcie jeden z graczy przecina kwestję maksymalną sumą.
— Idą na trzysta — woła z zapałem.
Partnerzy uśmiechają się złośliwie i puszczają go na pierwszego. Ale on zbiera wszystkie, lewy robi sto, później osiemdziesiąt.
Nagle zrywa się drugi gracz i woła oburzony:
— Nie gram, bo tu ciężko kantują. Granda się robi, nieuczciwa gra: Oleś ma zupełnie inne karty, niż te, które ja mu dałem.

Z turystyki.

— Gdzie pan spędził urlop?
— Byłem w Monachjum.
— A piwo monachijskie pan pił?
— Nie piłem.
— Nie pił pan monachijskiego piwa? To zupełnie tak, jakby pan był w Neapolu i nie umarł.

Mysi żart.

Do pułapki, w której rozpaczliwie biega schwytana mysz, podchodzi druga mysz i powiada:
— Podaj mi tę słoninkę z haczyka, tobie ona już nie będzie smakowała.

Nie dowiedział się.



— Cóż, panie Erneście, nie ma pan jeszcze narzeczonej.
— Nie wiem, — od tygodnia nie miałem czasu dowiedzieć się u pośredniczki małżeństw.

Ogłoszenia drobne:

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. W razie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8
Telefon 32
Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Krycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Krycki, Żnin